

# Górski, Karol

---

## Autobiografia naukowa

---

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 32/1, 3-72

---

1987

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Karol Górski

## AUTOBIOGRAFIA NAUKOWA

### POCZĄTKI

Urodziłem się 30 kwietnia 1903 r. w Odessie, w rodzinie inteligentnej o dużych tradycjach i ambicjach kulturalnych. Ojciec mój był lekarzem, a z zamiłowania artystą malarzem, wystawiał obrazy swe w Odessie i Warszawie, malował pejzaże, portrety, natury martwe. Nazwisko jego znalazło się w *Słowniku Malarzy Polskich*.

Matka moja miała średnie wykształcenie i oddawała się muzyce, brała stale lekcje gry na fortepianie i grała głównie Chopina i Beethovena. Kiedy na święta przyjeżdżała w odwiedziny do ich matki, a mojej babki, młodsza siostra, odbywał się cichy konkurs muzyczny, a potem matka moja rozpaczała, że ciotka gra lepiej. Urodziłem się w 8 lat po ślubie rodziców, długo oczekiwany, potem przez 6 lat wychowywałem się jako jedynak. Wpłynęło to na moje samotnictwo i skłonność do zamykania się w sobie. Uczyłem się w domu, by pójść jak najpóźniej do szkoły obcojęzycznej. Poszedłem do niej mając lat 11. Za to uczyłem się w domu języków francuskiego, potem niemieckiego i angielskiego. Uczono mnie też gry na fortepianie, ale nie okazywałem ani talentów ani zamiłowania, ani słuchu. Nie dały też wyników lekcje rysunku — po prostu „nie widziałem” kolorów, które widzieli malarze. Ważnym wydarzeniem w moim życiu był wyjazd z rodzicami i młodszym bratem do Krakowa i Zakopanego w 1914 r. Było to przeżycie. Zobaczyłem zabytki przeszłości, muzea, kopiec Kościuszki. Zobaczyłem miasto, gdzie mówiono po polsku, nawet kolejarze i policjanci odzywali się po polsku. Noszono kokardy narodowe i orzelki. Rozpaliło to we mnie uczucia narodowe. Wojna zaskoczyła nas w Zakopanem, gdzie widziałem legionistów wyruszających na front pod wodzą Tetmajera, który wymachiwał pałaszem. Żyłem w atmosferze oczekiwania na niepodległość. Tymczasem wojna się przeciągała i musieliśmy wracać drogą przez Węgry i Rumunię. W listopadzie wróciliśmy do Odessy i poszedłem do rosyjskiej szkoły.

Rodzice przeznaczali mnie na inżyniera. Mieliśmy dobre gimnazjum klasyczne pod bokiem, ale kiedy się okazało, że tam Polaków szykanują, oddano mnie do prywatnej szkoły realnej, której dyrektor, Żukowski, był człowiekiem bardzo prawym i tam żadnych szykan nie było. Kiedyś na lekcji historii była mowa o Dymitrze Samozwańcu i niechlubnych czynach

Polaków, kolega z sąsiedniej ławki krzyknął „Polacy to Turcy”. Turcy byli w Odessie symbolem barbarzyńskich i zaciętych wrogów. Na to nauczyciel stanął w mojej i Polaków obronie. Podkreślał to, by wskazać na klimat szkoły, w której Polaków było po kilku w klasie.

Tymczasem okazało się, że matematyka przychodzi mi z trudem. Uczyłem się pilnie, ale zbierałem zaledwie trójki. Wtedy zdecydowano w domu, że będę chemikiem. Ale i tu geniuszem nie byłem. Interesowała mnie historia, przede wszystkim dzieje Napoleona i wojen napoleońskich oraz wojsko polskie. Śniło mi się kiedyś, że jestem oficerem polskim i chodzę w mundurze z czasów napoleońskich w stosownym kapeluszu i ten sen pamiętam dotąd. Kiedy miałem 15 lat, uchylałem się od chodzenia na zabawy, aby czytać książki i dokumenty historyczne ze zbiorów ojca. Wtedy też postanowiłem zostać historykiem. Nie było tu niczyjego wpływu. Interesowała mnie też filozofia. Miałem kolegę, który czytał Hegla i Marksa. Interesowała mnie też literatura powszechna, Indie i Chiny, a nawet po trosze językoznawstwo. Ale naprawdę pasjonowała mnie tylko historia. Pytano mnie niedawno, co zdecydowało, że mając tak rozległe zainteresowania — wybrałem historię. Odpowiedziałem, że nie wiem i nie potrafię wytłumaczyć. Po prostu chciałem być historykiem.

Tymczasem wybuchła rewolucja i wojna domowa w Rosji, Niemcy wojnę przegrali, Austria się rozpadła. Powstała Polska niepodległa. W r. 1919 wraz z rodzicami i młodszym bratem wróciliśmy do Polski. Rodzice zamieszkali w Milanówku, gdzie mieliśmy bliskich krewnych. W 1921 r. uzyskałem maturę nie bez trudu. W szkole polskiej miałem z historii dobrze z plusem; czasem-bardzo dobrze z minusem, choć się bardzo starałem. Dlatego twierdzę, że stać mnie na to, by być historykiem dobrym, ale nie znakomitym. Na uroczystości nadania mi doktoratu honoris causa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w 1979 r. mówiłem: „Uczciwie mówiąc, nie byłem i nie jestem uczonym najwyższej miary — tak na dobrze z plusem — czasem w drodze wyjątku na bardzo dobrze z minusem”. Tak mnie oceniał w przedostatniej klasie szkoły średniej stary profesor Denter, którego peleryna i zgryźliwość były sławne. Jak ja się starałem, a tylko raz dostałem z odpowiedzi 5 mińus, zawsze 4 plus. I tak zostało w życiu. Brakło mi blasku organizatora, i gestu teatralnego, i krasomówstwa, i tego wszystkiego, co jest oprawą zewnętrzną wielkości. Więcej do mnie przemawiała prostota, jaką miał Kazimierz Tymieniecki. Ale nie wybiegajmy naprzód.

Po maturze przyszły długie wakacje poświęcone głównie lekturze historycznej. Ale też przeżyłem wówczas przełom etyczny. Wyraźnie etyczny. Starszy kolega z harcerstwa ostro mi zwrócił uwagę, że źle mówię o innych. Wspomniał o Książeczce Tomasza a Kempis, którą właśnie czytał. Zrobiło to na mnie wrażenie. Książeczkę *O naśladowaniu Chrystusa* przeczytałem i przemyślałem, ale jakże się zdziwiłem, kiedy przy następnej rozmowie

rozmówca mój wyraźnie się zadeklarował jako człowiek niereligijny. Ale przełom etyczny we mnie pozostał i przyniósł przemianę.

#### STUDIA UNIWERSYTECKIE

Ojciec po daremnych próbach namówienia mnie na wybór studiów prawnych zrezygnował z planów i postanowił mnie wysłać na studia do Krakowa. To zadecydowało o tym, że nie zająłem się Napoleonem ani Księstwem Warszawskim, ani powstaniem listopadowym. Nagle na proseminarium prof. (wówczas jeszcze docenta) Romana Grodeckiego zrodziło się zainteresowanie mediewistyką, tym więcej, że znajomy z Milanówka, znacznie starszy ode mnie Józef Sleszyński, syn profesora matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, pasjonował się badaniami heraldycznymi i początkami społeczeństwa feudalnego. Również kolega mój — Marian Friedberg — przyjęty na seminarium Władysława Semkowicza już na I roku studiów, pociągał mnie w tym kierunku i na drugim roku uzyskał zgodę profesora na przejście na jego seminarium.

Uniwersytet Jagielloński przeżywał w latach dwudziestych naszego stulecia nowy okres świetności. Szczególnie występowało to na studium historii, gdzie żywa była tradycja badań Karola Potkańskiego, który stosował metody kompleksowe, łącząc wyniki różnych nauk i uzyskiwał nieoczekiwane rezultaty. Po pomysłach Fr. Piekosińskiego o dynastycznym pochodzeniu szlachty polskiej pozostał niesmak, ale dalej interesowano się początkami społeczeństwa polskiego, a Władysław Semkowicz, uczeń Balzera, podjął problematykę pochodzenia rodów rycerskich, wnosząc nowe metody i nowe punkty widzenia. Połączył on żmudne zestawienia genealogiczne nie tylko z badaniem herbów i imion rodowych, ale też z rozsiedleniem i zakresem własności gruntowej. Przechylał się coraz wyraźniej ku badaniom geograficzno-historycznym. Miały one wzbogacić naszą wiedzę o państwie pierwszych Piastów przez rekonstrukcję szaty leśnej, a poprzez nią także granic plemiennych i granic mniejszych terytoriów. Na tym tle granice kościelne nabierały szczególnego znaczenia, gdyż mogły się w nich przechować jakieś dawne granice plemiennych terytoriów i kasztelanii. Monografie Wł. Semkowicza o rodzie Pałuków i o rodzie Awdańców, wykonane odmiennymi metodami, mogły służyć jako wzór i zapowiadały nowe spojrzenie na początki Polski feudalnej. Wł. Semkowicz dawał do wyboru jedną z tych monografii jako model, ale wyraźnie było widać, że późniejszą — o rodzinie Awdańców — uważa za lepszą. Obok Wł. Semkowicza wykładał dzieje do XII wieku Roman Grodecki, który zamierzał napisać dzieje gospodarcze Polski, ale go ubiegł w Poznaniu Jan Rutkowski. Badania St. Kutrzeby na wydziale prawa, a Jana Fijałka — historyka kościoła — na teologii były w pełnym toku. Jan Dąbrowski zajmował się Andegawenami

i w ogóle XIX wiekiem. Można powiedzieć, że prowadzono badania różnymi metodami. Żywe były tradycje stosowania metod marksistowskich przez Maxa Gumplowicza i K. J. Gorzyckiego. Prace ich czytano i dyskutowano nad nimi. Moim zdaniem to stosowanie licznych różnorodnych metod z wyraźnym nachyleniem ku socjologii było prekursorskim w stosunku do francuskiego czasopisma „Annales”, choć nie było związków między środowiskiem Karola Potkańskiego a o wiele późniejszym środowiskiem „Annales” i odnową historiografii francuskiej, jaką przyniosły. Dla mnie środowisko krakowskie stanowiło świetne przygotowanie. Gdy w wiele lat później zetknąłem się ze szkołą „Annales” — rozumiałem doskonale, na czym polega nowość metod stosowanych przez tę grupę badaczy.

Historię polityczną uprawiali z talentem Wł. Konopczyński i W. Sobieski, pierwszy, który podjął wykłady z historii najnowszej. St. Kot zajmował się historią reformacji i wykladał historię wychowania w przepelnionej sali. Ale nie słyszałem, by między historykami a historykami literatury istniała współpraca i by podejmowano kompleksowe badania. Również z archeologami nie było kontaktów. Zapytywaliśmy ich o badania wczesnodziejowych stanowisk, ale oni tkwili w epoce kamiennej i powoli tylko posuwali się ku średniowieczu. Filozofowie krakowscy, posiadający katedry, nie zajmowali się średniowieczem. Wielkim autorytetem był na wydziale teologicznym ks. Konstanty Michalski; Aleksander Birkenmajer był pozbawiony rozgłosu i nie prowadził nauczania akademickiego. Nie zajmowano się też wśród historyków socjologią i etnologią. Doszła kiedyś wiadomość, że we Lwowie mają dzieła Maxa Webera i że to znakomity myśliciel. Ale na tym się skończyło, we Lwowie też Webera nie czytano wśród historyków. Zainteresowania zaspokajałem przez samokształcenie. Starszy kolega, Zdzisław Wędrychowski, wciągnął mnie do Stowarzyszenia Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”, gdzie była sekcja filozoficzno-religijna. Prowadził ją ks. Konstanty Michalski, który czasem miewał krótkie prelekcje. Było to jakby proseminarium. Tam nauczyłem się cenić tomizm. Dalsze informacje i wskazówki przyniosły Tygodnie Społeczne „Odrodzenia” w Lublinie, na których bywałem od 1923 r. Tu ogromnie nas porywały wykłady O. Jacka Woronieckiego, filozofa-tomisty oraz mniej błyskotliwe, ale bardzo gruntowne — ks. Antoniego Szymańskiego, socjologa erudyty, wykształconego w Belgii i Francji. Dlatego też na rigorosum z filozofii obrałem przygotowanie Étienne Gilsona: *Le thomisme* w pierwszym wydaniu, które właśnie się ukazało. Prof. W. Rubczyński zgodził się na to, ale — jak zwykle — zapomniał i pytał mnie o Platona, a ja się krępowałem mu przypomnieć. Ale przerobiłem Gilsona gruntownie. O Maritainie nie było jeszcze głośno. W każdym razie bakcyl filozofii został mi zaszczepiony.

Interesowały mnie też zagadnienia społeczno-ekonomiczne, które prze-pajały całą atmosferę życia umysłowego ówczesnego społeczeństwa. Załamywały się dawne systemy, nowe się dopiero rodziły. Skorzystałem wtedy z pow-

stania prywatnej Szkoły Nauk Politycznych, którą kierował profesor Michał Rostworowski. Prócz licznych egzaminów szczegółowych zdawałem prawo państwowe i prawo narodów (jak się to wówczas nazywało) u prof. Rostworowskiego oraz ekonomię u prof. Adama Krzyżanowskiego. Rozszerzyło to bardzo moje horyzonty umysłowe. Studiowałem także jako przedmiot dodatkowy historię sztuki, ale rigorosum mniejsze było jak zawsze, zgodnie z austriackimi przepisami, z filozofii.

Grono kolegów dostarczało mi bodźców do myśli. Znalazłem się w grupie jednolatków, którzy razem zapisali się na studia. Wyszło z nich chyba 10 profesorów — wraz z nieco starszymi i o rok młodszymi (M. Friedberg, K. Piwarski, K. Lepszy, S. Mikucki, K. Piotrowicz, W. E. Czapliński, M. Pelczar, H. Barycz, St. Bodniak, M. Szczudło). Przez pewien czas studiował też J. Dutkiewicz. Przyrodnicy powiedzieliby, że to było „phylum”, następne lata były uboższe. Dyskutowaliśmy zagadnienia metodologii, które będą mnie nurtować całe życie. Wł. Semkowicz operował na pograniczu 2—3 nauk, przenosząc wyniki ich do historii i do geografii historycznej. Nasuwały się pytania, w jakiej mierze było to dopuszczalne, w jakim stopniu hipotetyczny wynik badań jednej nauki może być traktowany jako pewnik w nauce innej. Środowisko krakowskie było tu mimo wszystko bardzo zachowawcze.

Utrzymywałem też stosunki z kolegami z innych wydziałów, m.in. z prawa. Śmieszył mnie bardzo sąd, jaki wydał o mnie i o niektórych kolegach Waław Alfred Zbyszewski, zmarły w 1986 r. wybitny publicysta, który — studiując prawo — pisywał do „Czasu”. Zdobył sobie sławę publikując wywiad na półtorej szpalty z generałem tureckim, który od początku do końca odmawiał z nim rozmowy. I tego wyszło, jak pisałem, na półtorej szpalty. Napisał też reportaż z lotu samolotem pasażerskim z Krakowa do Warszawy (pierwszy taki lot!). Pisał też barwne sprawozdania z giełdy i rozmawiał językiem giełdowym. Kiedyś rozdał nam cenzurki w rozmowie; o mnie powiedział: „walor niewielki, ale pewny”, o sobie: „walor spekulacyjny”.

W czasie studiów interesowałem się polityką. Gdzieś w 1926—27 r. zdecydowałem, że to nie dla mnie — byłem zbyt naiwny. Wybrałem zdecydowanie drogę naukową. Czytałem gdzieś, że „historyk — to polityk bez talentów”. W moim przeświadczeniu to jest słuszne.

Profesorowie prawa utrzymywali stosunki ze studentami i od czasu do czasu lepszych studentów zapraszali do siebie. Na humanistycę w Krakowie tego zwyczaj u nie było.

Jak pisałem, zacząłem studia od historii gospodarczej; po proseminarium u prof. R. Grodeckiego chodziłem na jego seminarium, potem na drugim roku przeszedłem na seminarium nauk pomocniczych historii Wł. Semkowicza. Zainteresowania wojnami napoleońskimi wywietrzały.

Seminarium Wł. Semkowicza było prowadzone wzorowo. Nie wymagano wówczas od profesora planów i sprawozdań okresowych, ale plany on sam

sporządzał. Znalazłem kiedyś w jakiejś książce brulion przygotowania seminarium, który podaję w aneksie. Był to brulion ze skreśleniami. Czystopis był w nieodstępny notesie profesora, gdzie był zanotowany plan każdego seminarium. Na początku pytał jednego z uczestników, co było na poprzednim seminarium, potem pytał kilku o postępy prac (zwykle 2—3) i dawał wskazówki co do literatury. W ten sposób w ciągu miesiąca lub 6 tygodni przepytывał wszystkich. Z kolei było czytanie jednej z prac, przy czym był zawsze koreferat przygotowany przez rówieśnika. Prace pisano jeszcze ręcznie. Po odczytaniu fragmentu pracy miała miejsce dyskusja. Pierwszy zabierał głos koreferent, potem inni dyskutanci, na końcu asystent (dr Zofia Kozłowska-Budkowa). Ostatni zabierał głos profesor, spokojnie, rzeczowo, bardzo uprzejmie, ale bez dużych pochwał. Karolowi Buczkowi, który napisał pionierską pracę o kartografii ziem polskich w XVIII w., polecił odłożyć pracę, aby się „odležała”. Nie ganił też ostro, ale był mało mówny i zamknięty w sobie. Właściwie całą pracę kształcenia studentów prowadził sam, nikogo nie przekazywał dr Kozłowskiej. Informacji pomniejszych udzielali starsi koledzy. Nie było więc systemu „tutorialnego”, gdzie profesor unosi się gdzieś wysoko, a wychowują asystenci czy „tutorzy” jak w Anglii. W ten sposób decydującą rolę odgrywał osobisty stosunek z profesorem. Tam, gdzie były wielkie rzesze studentów (np. u prof. Wacława Sobieskiego), stosunki z profesorem nie był częste. Na prawie studenci „słuchali” i „zdawali” — obowiązywał jeszcze austriacki system doktoratu bez pracy. Bywałem na innych seminarium, np. w Warszawie, gdzie profesor przychodził nieprzygotowany i czytano źródła z powierzchownym przekładem i komentarzem. Pod tym względem seminarium Wł. Semkowicza pełne rygorów, ze sprawdzaną obecnością, wymaganą i stosowaną punktualnością, stało bardzo wysoko.

Wyjazdów zagranicznych tak jakby nie było. Wysyłano dobrych paleografów, by kopiowali teksty z archiwum watykańskiego dla Monumenta Poloniae Vaticana — za moich czasów nie jeździł nikt z Krakowa. Z Niemcami stosunki były złe i nie przyjmowano Polaków na studia i na seminarium, a także utrudniano korzystanie z archiwów. Wł. Semkowicz wystarał się o stypendium do Francji dla Mariana Friedberga, co uchodziło za rzecz niesłychaną. Zresztą M. Friedberg nie natrafił na poważnych badaczy z zakresu studiów prowadzonych przez Semkowicza. Ten ostatni utrzymywał mało stosunków z zagranicą — miał przyjaciół Słowaków i bodaj Węgrów. Z profesorem A. Hofmeisterem z Gryfii, który stosował podobne metody, poznał się dopiero na kongresie międzynarodowym w Warszawie w 1933 r., na którym po referacie Wł. Semkowicza Hofmeister zabrał głos, by wyrazić uznanie dla metod pracy i wyników badań polskiego uczonego. Zresztą niemal wszyscy badacze polscy uważali się za historyków Polski, którym cudzoziemcy nie mają nic do powiedzenia, co najwyżej mogą się od nas uczyć. Jedynie Marceli Handelsman i Bronisław Dembiński stanowili wyjątek, a także Oskar Halecki, mający te stosunki jeszcze z czasów młodości.

To odosobnienie historyków polskich ustąpiło dopiero w latach sześćdziesiątych, o czym niżej powiem.

Praca dyplomowa mogła być według przepisów albo uznana za wystarczającą do nauczania w szkole średniej albo za doktorską. Tak stanowiła austriacka ustawa. Otrzymałem temat: *Ród Odrowążów w wiekach średnich* — temat dość obszerny, i mógł być podstawą do doktoratu.

Miała to być kontynuacja serii monografii rodów rycerskich pióra Wł. Semkowicza, które miały rzucić światło na początki państwa Piastów i rolę rodów rycerskich podzielonych na stronnictwa. Po dwóch wielkich monografiach Wł. Semkowicza o Pałukach i o Awdańcach powstała praca Mariana Friedberga o rodzie Łabędziów, która wyprzedziła o rok moją, potem praca Wyrostka o Sasach i inne. Ale sam Wł. Semkowicz już przestał się pasjonować tą serią monografii i przeszedł do geografii historycznej, która miała odtworzyć podziały plemienne, administracyjne i kościelne za pierwszych Piastów. Atlas historyczny Polski stał na pierwszym miejscu.

Pracowałem nad „Odrowążami” przeszło dwa lata, pisałem z ogromnym napięciem rozdział o roli politycznej rodu w XII i XIII w., zarywając noce i doprowadzając się do krwotoków z nosa. Wreszcie praca była gotowa, choć przypisy sprawdziłem tylko pobieżnie. Koreferentem był Marian Friedberg. Później pracę czytała dr Kozłowska-Budkowa i była bardzo surowa; dopiero zorientowałem się, że jako dawna uczennica St. Krzyżanowskiego, poprzednika Wł. Semkowicza na katedrze, reprezentowała inną metodę badawczą, ściśle związaną z pozytywizmem. Profesor był dla mojej pracy bardziej wyrozumiały, ale kazał ją przerobić. Po słowach Z. Kozłowskiej, że „wszystkie braki profesora podniesione zostały do kwadratu” straciłem do tematu serce. Postanowiłem napisać tak, by dostosować się do drobiazgowej i niewątpliwie nudnej metody pozytywizmu, ale bardziej ostrożnej. Praca została przyjęta i uznana za doktorską. Wł. Semkowicz żałował co prawda, że odrzuciłem bez reszty pierwszą wersję, ale ja już do niej nie miałem ochoty wracać. Leżała u mnie w biurku, aż ją zniszczono w czasie okupacji razem z pracą proseminaryjną o łowiectwie w kronice Galla i o Iwanie Odrowążu. Moja praca doktorska miała iść do druku, a ja tymczasem szukałem posady. Nie było o nią łatwo tym więcej, że czekała mnie jednoroczna służba wojskowa, a takich nie chciano angażować. Praktykowałem w bibliotece uniwersyteckiej w Warszawie, myślałem o dalszych studiach na prawie w Lublinie — wreszcie przygotowywałem się do egzaminów doktorskich, zwanych „rigoriosa” z historii średniowiecznej i filozofii. Egzaminy zdałem i zostałem doktorem filozofii. Poprawiałem jeszcze pracę do druku, czyniąc to nieumiejętnie i bez należytego rzemieślniczego podejścia. W miesiącach, poprzedzających powołanie do wojska, dzięki życzliwości Tadeusza Manteuffla brałem udział w jednym z posiedzeń kongresu historyków Europy Wschodniej, zwołanym do Warszawy przez Marcelę Handelsmana (1927). Było to duże przeżycie. Poznałem z widzenia i słyszenia wielu wybitnych i mniej wybitnych



uczonych czeskich, węgierskich, austriackich, rumuńskich, fińskich, Rosjan — emigrantów z Jugosławii; Związek Radziecki nikogo nie przysłał. Niemców było mało. Niektóre wystąpienia zostały mi żywo w pamięci, jak prof. Taranowskiego z Belgradu w obronie wartości prac historyka prawa słowiańskiego z epoki romantyzmu czy Maciejowskiego, który miał bogate pomysły badawcze. „Myślenie nie jest rzeczą zbyt cenną dla historyka” powiedział Taranowski, budząc zgorszenie. Niewątpliwie to zetknięcie z kongresem dało mi wiele podniet myślowych.

### SŁUŻBA WOJSKOWA I POZNAŃ

Od jesieni 1927 r. odbywałem służbę wojskową. Okazało się, że trzeba jeszcze raz przeprowadzić kontrolę przypisów pracy idącej do druku. Ponieważ byłem w wojsku, zrobił to za mnie Marian Friedberg, za co winienem mu jestem dozgonną wdzięczność. Rozprawa ukazała się w „Roczniku Tow. Heraldycznego” — w t. VIII i jest dotąd cytowana. Ale stosunki moje z Wł. Semkowiczem uległy zepsuciu na długie lata, aż znów zbliżył się do mnie po 1945 r.

Służbę wojskową odbywałem w 1927/28 w Grudziądzu. I tu obok dawnych zainteresowań obudziło się nowe. Na niemieckiej mapie (polskich jeszcze nie było) wyczytywaliśmy nazwy wsi w brzmieniu polskim lub lekko zniemczonym, a obok ruiny zamków o nazwach niemieckich. Te zamczyska z czerwonej cegły świadczyły o podboju kraju i jego kolonizacji, zresztą nie udanej, bo wieś pozostała polska. Chłop mówił piękną polszczyzną i z zachwytem słuchałem wciąż żywych podań. Tak podczas podróży taktycznej staliśmy we wsi Radoszki, gdzie młodzi mówili nam o dębim Jagiełły w dolinie rzeczki Brynicy, gdzie co roku odbywały się zabawy. Tam Jagiełło miał spoczywać podczas wyprawy grunwaldzkiej. To wszystko rozpałało wyobraźnię i pozwalało spodziewać się odkryć naukowych. Tymczasem polskiej literatury historycznej nie było. Problem rysował się coraz wyraźniej, podczas ćwiczeń w słońcu, deszczu czy śniegu, w wietrze wiejącym od morza i w strzępach zapamiętanej lektury. Polskich prac o Towarzystwie Jaszczurczym nie znałem, nie było ich w praktyce. Nie było można nic znaleźć poza popularnymi rzeczami o tym, jak i dlaczego poddani Zakonu zrzucili jego panowanie i poddali się Polsce. Była tylko, jak się przekonałem później, tendencyjna literatura niemiecka. Rosło we mnie zainteresowanie badawcze, a zarazem świadomość, że trzeba stanąć w obronie ludu polskiego, uciskanego przez tyle setek lat i poddanego wynarodowieniu. Tak zrodziła się myśl o zmianie tematyki badawczej i poświęceniu się historii Pomorza.

Po służbie wojskowej osiadłem w Poznaniu i podjąłem pracę w szkole średniej.

Decyzja zmiany kierunku badań przyszła mi z trudem. Byłem związany

ze środowiskiem krakowskim i z całą problematyką badawczą, którą tam uprawiano od lat 70 ubiegłego wieku — szukaniem początków państwowości polskiej i społeczeństwa feudalnego. Teraz miałem stanąć samodzielnie w nowej dziedzinie badań. Jeszcze raz zapytałem Wł. Semkowicza przez Mariana Fiedberga o tematykę pracy. Odpowiedź była negatywna. Przede mną stanęła bariera, której przełamać ani ominąć nie mogłem. Jak kilka razy w późniejszym życiu uznałem to za znak, że trzeba zmienić drogę. Takie rozumienie bariery wyrastało z całego mego światopoglądu i systemu myślenia, układu wartości i dyspozycji psychicznych. Po odpowiedzi z Krakowa wszystkie siły skierowałem do badań nad historią Pomorza. Prof. Tymieniecki okazał mi dyskretne poparcie, podobnie jak całe naukowe środowisko poznańskie, ukierunkowane ku badanom problematyki ziem zachodnich i stosunków polsko-niemieckich.

Zajmował się nią Kazimierz Tymieniecki, który uprawiał przede wszystkim analizę dyplomatyczną źródeł. Uczniem jego był Leon Koczy, który badał stosunki polsko-skandynawskie za pierwszych Piastów. Kazimierza Tymienieckiego cechowała niezwykła bystrość umysłu, o czym mogłem się przekonać. Przedstawiłem mu trudności w ustaleniu czasu powstania i wiarygodności żywotu pustelnika Benedykta-Stosława z tzw. „źródeł budzisławskich”. Od razu uznał to za typowy żywot z XVII—XVIII w. Od razu też uznał duński system rocznej rotacji posiadania ról przez chłopów (tzw. „Solskiftet”) za insytucję wprowadzoną przez system feudalny, nie zaś za pozostałość pierwotnej wspólnoty wiejskiej. Nauka duńska i szwedzka stała na innym stanowisku; aż wreszcie Sölve Göransson w Szwecji, a badania angielskie w hrabstwie biskupim Durham w Anglii północnej wykazały, że to organizacja faktycznie wprowadzona przez panów feudalnych. Kazimierz Tymieniecki wprowadzał do swych badań socjologiczny i gospodarczy punkt widzenia. Aktywnie też uczestniczył w badaniach nad dziejami Śląska i Pomorza. Był ujmujący w obejściu, ale wstrzemięźliwy w słowach. To, co odrzucał, kwitował ironią, która w jego ustach znaczyła więcej niż długie wywody.

Profesor Kazimierz Chodynicki, historyk Litwy i Rusi, miał szerokie horyzonty badawcze i rozmowy z nim były bardzo pouczające; zawdzięczam mu wiele, choć Prusami się nie zajmował. Życzliwy mi był profesor Jan Rutkowski, ale nie spotykałem się z nim na polu badań historii gospodarczej, którą uprawiał.

Najwięcej wskazówek udzielił mi profesor Józef Paczkowski, wówczas na emeryturze. Był to dawny pruski archiwista, doskonale zorientowany w prądach naukowych w Niemczech i kwalifikacjach naukowych poszczególnych badaczy. Do pracy w Naczelnej Dyrekcji Archiwów pruskich dostał się przez pomyłkę, gdyż Polaków tam nie przyjmowano. Jako student złożył podanie o stypendium, z tym, że potem musi odsłużyć je w archiwach. Pomyłono go z którymś z członków rodziny hakatysty tego samego nazwiska. Musiał wtedy latami zatajać swą narodowość i stosunki z działaczami

polskimi. Mimo że był ostrożny i małowówny, jak gdyby nadal krępować go przysięga służbowa urzędnika pruskiego, umiał być moim przewodnikiem po literaturze i źródłach. On mi wskazał jako bardzo cenioną w Niemczech edycję źródeł do dziejów stanów pruskich, które ogłosił Max Toeppen, dyrektor gimnazjum w Elblągu, który nigdy nie dostał katedry uniwersyteckiej. Zapoznawszy się z tymi 5 tomami doszedłem do wniosku, że jest to wystarczająca podstawa do rozpoczęcia badań, tym więcej, że była dostępna na miejscu.

Wiele życzliwości okazywali mi Adam Skałkowski i Bronisław Dembiński, sam urodzony i wychowany pod zaborem pruskim. Mówił mi jak młodemu przyjacielowi, co myślał o pakcie o nieagresji z Hitlerem. Historycy prawa Zygmunt Wojciechowski i Marian Jedlicki w pełni doceniali moje wysiłki, podobnie jak historyk wojskowości — Janusz Staszewski. Z kołem tym pozostawałem w bliskim kontakcie. W Toruniu należał do tego grona Zygmunt Mocarski, dyrektor Książnicy Miejskiej, bardzo oddany pracom nad przeszłością Pomorza.

Dużą rolę w środowisku poznańskim odgrywało Archiwum Państwowe na Górze Przemysława. Dyrektor jego — Kazimierz Kaczmarczyk — był zarazem kierownikiem administracji Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego. Pracownicy archiwum niejednokrotnie ułatwiali mi pracę, pozwalając korzystać z bogatej biblioteki podręcznej, zawierającej wiele dzieł z zakresu historii Pomorza. Polskie Towarzystwo Historyczne prowadziło wymianę swych wydawnictw z ośrodkami w Królewcu, Elblągu, Braniewie, Gdańsku. To wszystko, co Niemcy drukowali o Pomorzu przychodziło na Górę Przemysława do Archiwum Państwowego, a ja to wypożyczałem i pisałem recenzje, głównie do „Roczników Historycznych”. W ten sposób mogłem śledzić na bieżąco naukową literaturę niemiecką, co było z niemałą dla mnie korzyścią. Innym ośrodkiem, z którym utrzymywałem bliskie stosunki było Archiwum Archidiecezjalne, którym kierował ks. dr Józef Nowacki. Tu mogłem zawsze zasięgnąć informacji z zakresu prawa kościelnego, które stale się pojawiało przy badaniach nad Zakonem Krzyżackim. Opisałem szeroko środowisko poznańskie, by wykazać, jak bardzo sprzyjało ono moim badaniom nad dziejami Pomorza i jak silnym było dla mnie oparciem.

Pracowałem szybko, zdając sobie sprawę, że na długo sił mi nie starczy, mając duże obciążenie w dwóch szkołach (do 40 godzin tygodniowo). Chciałem się żenić i przewidywałem, że później może mi zabraknąć czasu na pracę. Złożyłem podanie o stypendium na badania w archiwum w Królewcu, gdzie znajdowało się archiwum Zakonu. Władze niemieckie odmówiły zezwolenia.

#### SZYKANY PRUSKIE I AUSTRIACKIE. HABILITACJA

Przyczyny odmowy władz archiwalnych pruskich są dziś znane, gdyż odnaleziono w Archiwum gdańskim odnośną teczkę czy teczkę. Archiwum

Wolnego Miasta Gdańska pozornie było niezależne od Berlina, ale w rzeczywistości otrzymywało instrukcje z naczelnej dyrekcji archiwów pruskich. Jak mi powiedział prof. Józef Paczkowski, dyrekcja miała swą siedzibę w tym samym gmachu co ministerstwo spraw zagranicznych i stamtąd otrzymywało instrukcje i wskazówki. Tam nie życzo no sobie, bym prowadził poszukiwania w piętnastowiecznych aktach. Jak wynika z urzędowej korespondencji niemieckiej, ze strony archiwum w Królewcu w r. 1938 informowano Gdańsk, że należą do najbardziej wrogo do Niemców usposobionych historyków polskich oraz zestawiono wszystkie fakty, które Niemców uraziły. Władze archiwalne w Gdańsku były stale informowane o posunięciach Berlina i nawet stamtąd otrzymywały decyzje co do dopuszczenia lub niedopuszczenia poszczególnych badaczy i co do przyjęcia tematów ich prac. Na zewnątrz zachowywano pozory uprzejmości i rzekomą niezależność decyzji. Z Królewcem archiwum gdańskie utrzymywało stałe kontakty. W Polsce nie zdawano sobie z tego sprawy<sup>1</sup>.

Ktoś mi poradził, bym się udał o pomoc do profesora Marcelego Handelsmana, który obiecał interweniować u dyrektora naczelnego archiwów pruskich prof. Brackmanna, ale nie czynił nadziei. Dopiero po wojnie na podstawie akt można było stwierdzić, że Brackmann prawie nigdy nie odmawiał prof. M. Handelsmanowi, choć polecał podwładnym ostrożność i ograniczanie swobody badaczy polskich<sup>2</sup>.

Wobec niemożności korzystania z archiwum w Królewcu pozostał Gdańsk. Tu państwo polskie było współwłaścicielem archiwum i miało swego przedstawiciela, który zresztą trzymał się na uboczu i w archiwum nie pracował. W archiwum tym spoczywały jako depozyt akta małych miast pomorskich, w których można było znaleźć dane co do ludności polskiej. Zostały mi one udostępnione z wyjątkiem akt m. Chełmna. Te zostały wywiezione w swej najstarszej części (XV w.) do Berlina, gdzie wypłynęły na jaw w 35 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. Są wśród nich spisy podatkowe mieszkańców przedmieść. Ale i to, co znalazłem w Gdańsku, wystarczało, by ustalić skład etniczny mieszkańców miasteczek Pomorza. Znalazłem też trochę innych materiałów do dziejów wojny trzynastoletniej z Zakonem (1454—1466). Potem pojechałem do Pragi Czeskiej, gdzie znalazłem również trochę materiałów i do Wiednia. Poszedłem tu do archiwum Zakonu Krzyżackiego. Dyrektor, stary świecki pan, wyszedł do mnie do pracowni i oświadczył, że do mego tematu niczego nie mają. Był przy tym dość nieuprzejmy. Po przeszło 50 latach dowiedziałem się, że właśnie wtedy skatalogowano ważną korespondencję, dotyczącą sporu Zakonu ze Związkiem Pruskim

<sup>1</sup> Cz. Biernat: *Spór archiwalny polsko-gdańsko-niemiecki w okresie międzywojennym 1919—1939*. (Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych WAP Gdańsk). Warszawa 1969 s. 157, 159, 160.

<sup>2</sup> Tamże, s. 157—160.



i procesu przed sądem cesarskim, co właśnie dotyczyło mego tematu. Z akt archiwum gdańskiego wynika, że naczelną dyrekcja archiwów pruskich zawiadamiała też o niewygodnych badaczach prywatne archiwa, m.in. krzyżackie w Wiedniu. W innych zbiorach nic nie znalazłem. Pojechałem też do Berlina, by popracować w bibliotekach. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Trzeba się było oprzeć na tym, co mogłem znaleźć w Polsce.

Odmowa dopuszczenia mnie do Królewca odbiła się w Polsce dość głośnym echem w środowiskach historycznych. Niektórzy starali się pocieszać, że przeciw innym badaczy tam dopuszczano. W rzeczywistości dopuszczano Polaków do korespondencji księcia Albrechta Hohenzollerna z panami polskimi, nie zaś do akt dotyczących dziejów Prus. Decydował tu moment polityczny. W tych warunkach moja praca habilitacyjna oparta była na materiale niepełnym. Dlatego postanowiłem ująć ją jako tezę teoretyczną i oparłem się na książce amerykańskiego badacza Carltona H. Hayes'a o nacjonalizmie<sup>3</sup>. Otrzymałem ją do recenzji w niemieckiej wersji z „Kwartalnika Historycznego”. Hayes postawił tezę, że poczucie narodowe w Europie rozwijało się powoli i miały miejsce różne regresy, gdyż inne elementy świadomości — przynależność terytorialna, stanowa, wyznaniowa, wierność dynastii uzyskiwały przewagę. Zastosowałem ten punkt wyjścia do dziejów Prus w XV w., by przeciwstawić się nacjonalizmowi, który dominował w nauce niemieckiej w XIX i początkach XX w. Przekład książki Hayes'a na niemiecki był niszczone pod rządami Hitlera.

W rozprawie mojej zanalizowałem skład etniczny miast z Gdańskiem na czele. Zająłem krytyczne stanowisko wobec obliczania procentowego imion polskich i niemieckich, bo przecież było wiele imion ogólnochrześcijańskich, powszechnie używanych, tak że stanowią one grupę „nieokreślonych”. Bronię nadal tego stanowiska i widzę z zadowoleniem po przeszło 50 latach, że metoda ta zaczyna być przynajmniej częściowo rozumiana w Niemczech Zachodnich. Rycerstwo zanalizowałem na podstawie materiału heraldycznego, który pozwala odróżniać typ herbów słowiańskich i polskich, wschodnio-niemieckich i herby przybyszów z Niemiec Zachodnich. Udało się ustalić obszary, na których istniało zwarte osadnictwo niemieckich chłopów. Starłem się wykazać, że istniały powiązania rodzinne rycerstwa pomorskiego z pozostałymi ziemiami polskimi, co mogło sprzyjać przenikaniu polskich idei wolności dla Prus. Przedstawiłem następnie rolę Pomorza w Związku Pruskim i w czasie wojny trzynastoletniej oraz obliczyłem przypuszczalną liczbę zaciężnych Związku. Książka ukazała się w Poznaniu w 1932 r. W tymże roku w grudniu odbyła się habilitacja. Kolokwium przeżyłem jako wyjątkowo trudne, bo mnie pytano nie o Prusy, a o wojny Zakonu z Litwą. Rada Wydziału Uniwersytetu Poznańskiego wyraziła chęć wysłuchania wykładu na

<sup>3</sup> Carlton J. H. Hayes: *Nationalismus*. Leipzig 1929; rec. „Kwartalnik Historyczny” t. 44, 1930 s. 577—580.

temat drugi spośród 3 zgłoszonych (*Początki Gdańska*), choć zwyczajowo kandydat przygotowywał tylko pierwszy temat. Ale ja miałem przygotowane wszystkie trzy tematy. Habilitacja została zatwierdzona w początkach 1933 r. Recenzji niemieckich było mało — pracę przemilczano. Jedynie ks. Paweł Panske z Pelplina przysłał mi słowa zachęty dodając „Macte virtute”.

#### VII KONGRES MIĘDZYNARODOWY NAUK HISTORYCZNYCH W WARSZAWIE

Kongres odbył się we wrześniu 1933 r. gromadząc ok. półtora tysiąca historyków z różnych krajów. Z perspektywy czasu znaczenie jego staje się coraz większe. Po raz pierwszy kongres taki odbył się w Polsce, w stolicy odbudowanego państwa. Polska mogła zaprezentować dorobek swej kultury i poziom badań historycznych. W czasie rozbiorów Polska była na kongresach nieobecna, po wojnie ledwo zaznaczała swój udział. Dzięki niez mordowanej pracy Marceliego Handelsmana jako sekretarza generalnego i organizatora Kongres zgromadził badaczy z całej Europy i Stanów Zjednoczonych. Najwięcej trudności było z Niemcami, którzy początkowo odmówili przybycia. Jednak atmosfera rokowań o pakt o nieagresji musiała zrobić swoje i na kongres przybyła liczna reprezentacja zachodnich sąsiadów, bardzo różnorodna, obejmująca także zaciekłych naszych wrogów, którzy prowadzili pokątną propagandę zohydzenia Polski. Mówiono, że punktem ciężkości miał być dla Niemców referat profesora Otto Hoetscha na temat federacyjnych zasad polityki wschodnioeuropejskiej w XVIII w. Na posiedzenie przybył ambasador Moltke z całym sztabem i po odczycie długo o coś prelegenta wypytywał. Ale mnie się wydaje, że cały ten odczyt był jakimś niewypałem i zamierzonego wrażenia nie zrobił.

Trudno mi mówić o całości Kongresu, o migawkach pozostałych w pamięci z przyjęć na Zamku i w Prezydium Rady Ministrów, z poszczególnych odczytów i rozmów. Pamiętam sekcję metodologii, na której przewodniczył Henri Berr. Poznałem wielu historyków, ale pozostało niewiele trwałych kontaktów, np. z moim partnerem od spraw krzyżackich, Erichem Maschke, z Ernst Percy Schrammem, z Emilem Lousse z Louvain. Miałem komunikat dobrze przyjęty przez Niemców. Raczej słuchałem i patrzyłem. W czasie obrad nagle wezwano mnie do Marceliego Handelsmana, który mi polecił sekretarzować na nadzwyczajnym posiedzeniu, na którym miał przewodniczyć profesor Brackmann. „Niech Pan przytem załatwi swoje sprawy”. Przywitałem się z Brackmannem, wysokim i potężnym, oczywiście w surducie, z postawą pruskiego oficera. Ale nie mogłem się zdobyć na mówienie o sobie. Byłem tylko bardzo uprzejmy i pełen szacunku. Odczyt miała Angielka Helen Camo anglosaskiej Hundred i karolińskiej Centenie. Miałem wrażenie, że

Brackmann rozumie piąte przez dziesiąte, a i ja też. Po odczycie nikt nie zabrał głosu, nawet pełna zachwytu Angielka, przyjaciółka prelegentki. Była to, jak się dowiedziałem później, Eileen Power, żona Postana, która miała zginąć w Londynie podczas nalotu niemieckiego. Po odczycie rozeszliśmy się. Ale gdy w 1935 r. ponownie złożyłem podanie o dopuszczenie do badań w Królewcu, nieoczekiwanie pozwolenie otrzymałem.

Szczególne znaczenie miał też dla mnie odczyt profesora Stefana Czarnowskiego, znanego socjologa i etnologa, który zanegował istnienie w Polsce XVI i XVII w. głębokiej religijności i mistyki; Polaków miała cechować w przeciwieństwie do Zachodu płytką pobożność, co znajdowało wyraz w szybkich zmianach wyznania. Miałem przekonanie, że to pogląd błędny, że byli w Polsce mistycy i mityczki o wysokiej klasie przeżyć religijnych. St. Czarnowski wychodził zapewne z założenia, że skoro chłop polski w przeciwieństwie do rosyjskiego nie jest mistykiem, to można zastosować także do szlachty i mieszczan. Przeczytałem referat St. Czarnowskiego, wysłuchałem odczytu, i dyskusji, ale głosu nie zabrałem. Postanowiłem znaleźć i opublikować źródła, świadczące o istnieniu mistyki w Polsce XVI i XVII w. i w ten sposób dać odpowiedź. Jedno takie źródło znalazłem przed kongresem, drugie po nim, ale nie od razu podjąłem pracę. Była to druga dziedzina badań zakrojonych na wiele lat, w dziedzinie nowej — obok państwa krzyżackiego i Pomorza. Bałem się z jednej strony rozproszyć się na wiele dziedzin, z drugiej — mentalność moja była tak ukształtowana, że myśl nieustannie pracowała. Marzenia systematycznie odrzucałem. Ktoś ze starszych kolegów podczas studiów, wskazując na mnie, powiedział kiedyś: „Popatrzcie, on ciągle myśli”. Przechodzenie od jednej dziedziny pracy myślowej do drugiej stanowiło dla mnie wypoczynek: od analizy źródeł do czytania nawet dzieła filozoficznego, od recenzji do obmyślenia referatu. Doszedłem do równoczesnego myślenia o 4 zagadnieniach: dwóch głównych problemach i dwóch ubocznych, np. lektur. Od tych ostatnich po przeczytaniu i przemyśleniu odrywałem się, by nie rozpraszać się i odcinałem je jak gałązki-dziczki na pniu drzewa. W moim wychowaniu zabrakło sportu, choć mnie dom do niego nakłaniał. Gdy miałem 14—15 lat i zacząłem się pasjonować piłką nożną i pływaniem — zapadłem na chorobę serca i całe lato zakazano mi unikać wysiłków. Więc czytałem. W karty nie lubiłem grać, przy brydżu zasypiałem, a przebudzenie z marzeń było bardzo przykre. Dlatego nie grałem w karty. Lubiałem rozrywki towarzyskie, ale duże wysiłki przeszkadzały mi w pracy umysłowej.

Z tego wszystkiego zrodziło się w r. 1934/5 przemęczenie. Miałem duże obciążenie pracą zarobkową (do 40 godzin w dwóch szkołach). Do tego przyszły wykłady docenckie od jesieni 1933 r., płatne jako godziny zleczone. Mówiłem kolejno o ustroju państwa krzyżackiego, o dziejach krucjat, o umysłowości średniowiecza. Popadałem w bezsenność. Stąd rodziły się też trudności w życiu rodzinnym. Żona moja zdołała przyjąć na siebie poświęcenie i oddanie części mojego czasu wolnego dla nauki, którą zwała „swoją

rywalką”. Była mi przyjacielem i doradcą oraz pomocą w życiu. Wzięła na siebie ciężar wychowania dzieci, do czego nie bardzo się nadawałem. Najmądrzejszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu, było to właśnie małżeństwo.

Po odbyciu kuracji wodoleczniczej wróciłem do pracy. Czytałem dużo Maritaina. Ojciec mój tłumaczył książkę jego *Art et schola stique*, ja tylko pomagałem. Maritain przyjechał do Poznania w 1934 r. i wtedy go poznałem. Rozmawiałem z nim o przekładzie i pytałem, czy nie zamierza napisać czegoś o wychowaniu i zastosowaniu doń personalizmu. Odpowiedział, że go to nie interesuje. W rzeczywistości napisał coś w dwadzieścia kilka lat później. Tymczasem widziałem potrzebę zasygnalizować społeczeństwu polskiemu ten nowy kierunek, tym więcej, że odgórnie propagowano w szkole bardzo nudne i sztywne zasady. Na marginesie tych tendencji i myśli Maritaina napisałem niewielką książeczkę o wychowaniu<sup>4</sup>, która się rozeszła błyskawicznie. Przyniosła mi ona uznanie i sympatię Sergiusza Hessena, z którym nawiązała się korespondencja. Ale do zagadnień tych nie udało się wrócić. Ujęcie moje jest przestarzałe wobec postępów filozofii personalistycznej. Była to odcięta gałązka.

#### WYJAZD DO KRÓLEWCA

Postanowiłem wrócić do badań nad dziejami ziem pomorskich i zająć się Ziemią Chełmińską. Akta miejskie poza niedostępnym Chełmnem zachowały się tylko w Toruniu, a to było osobne zagadnienie. Postanowiłem wtedy opracować rycerstwo chełmińskie, w tym jego pochodzenie, zagadkowe dotąd Towarzystwo Jaszczurcze i Związek Pruski oraz postawę tej szlachty wobec rządów polskich po pokoju 1466 r. Nauka niemiecka z uporem twierdziła, że szlachta zawiodła się na połączeniu kraju z Polską, że skarżyła się na ucisk, że Polacy, narzucając język swój, siłą polszczyli niemiecki kraj. Według tej propagandy germanizacyjny system pruski prowadził tylko z powrotem do stanu początkowego. Sprawiedliwość wymagała germanizacji i odpolszczenia, a dowody na to miały być w archiwach.

Przygotowałem się szybko na podstawie dostępnej, choć bardzo tendencyjnej, literatury dotyczącej historii lokalnej oraz bezcennych *Aktów* wydanych przez Maxa Toeppena; przerobiłem też archiwalia toruńskie, ale kluczowe znaczenie posiadał Królewiec. Jak wspominałem, podanie moje zostało uwzględnione na fali fałszywej przyjaźni polsko-niemieckiej, głoszonej po zawarciu paktu o nieagresji w 1934 r. Stypendium Funduszu Kultury Narodowej otrzymałem

---

<sup>4</sup> Moja bibliografia została wydrukowana w „Zapiskach Historycznych” 34, 1969 z. 3 s. 222 i nast., następnie za lata 1969—1973 w „Acta Universitatis Nicolai Copernici. Historia IX” Toruń 1973 s. 6 i nast. Po r. 1973 bibliografię moich prac zbiera Biblioteka Główna UMK. W przypisach podaję tylko ważniejsze prace wydane po 1973.



bez trudności. Jechałem przez Pelplin, gdzie nic nie znalazłem, do Malborka. Tu złożyłem wizytę dyrektorowi muzeum zamkowego Bernhardowi Schmidtowi. Był to poważny i bezstronny badacz. Po zwiedzeniu zamku podążyłem do Elbląga. Tu też byłem w bibliotece i archiwum, przyjęty jednak niezbyt życzliwie. Następnego dnia udałem się do Fromborka i trochę pracowałem w archiwum. Ostrzeżony przed jegomościem, który się do mnie przyczepił, pojechałem do Królewca.

W Królewcu korzystałem z gościny konsula generalnego RP Marchlewskiego, co znacznie ułatwiło mi sprawy finansowe. Stołowałem się w restauracji. Odwiedziłem Profesora E. Maschkego, z którym rozmawiałem na tematy fachowe, żadnych innych stosunków nie nawiązałem. W archiwum zgłosiłem się do dyr. Maxa Heina, który wbrew zwyczajom nie prosił mnie do swego gabinetu, ale wyszedł do mnie na salę i na cały głos oświadczył, że otrzymam wszystko, co dotyczy mego tematu, o ile to udowodnię cytatami z literatury. Oświadczenie to posłał później do Gdańska, gdzie je odnalazł i opublikował dr Biernat. Rozmawialiśmy na stojąco. Zapytałem, czy mogę cytować źródła przytaczane w moich pracach. Zgodził się na to, co było wyrazem uprzejmości. Opiekować się mną miał kustosz dr Kurt Forstreuter. Od razu zamówiłem w bibliotece wielką ilość monografii. Miałem w świeżej pamięci autorów, tytuły książek, a nawet strony. Pracowałem tak przez cztery i pół dnia od rana do obiadu i przerobiłem repertorium Joachima, które w 1948 r. ogłosił drukiem Walter Hubatsch, aby udowodnić, że archiwum królewieckie ma znaczenie dla historii całej Europy i nie należy go odsyłać do pierwotnego miejsca przechowania. Do każdej pozycji Joachima dodawałem cytaty z literatury niemieckiej dowodzący, że dana osoba pochodzi z Ziemi Chełmińskiej. Sporządzałem sobie kopię i zamówienie oddawałem. Oglądając się na sali widziałem, jak w oszklonej „loggii” Kurt Forstreuter między stosami książek poci się nad moimi zamówieniami. Dwadzieścia trzy lata później byłem u niego w Göttingen, gdzie był dyrektorem ewakuowanego archiwum królewieckiego. Rozmowa odbyła się w konwencji starej znajomości. Ja żartem przypominałem, jak się męczył nad moimi zamówieniami, a on westchnął na to przypomnienie.

Po złożeniu zamówień miałem kilka dni przerwy w pracy. Skorzystałem z zaproszenia konsula generalnego w Olsztynie, P. Zalewskiego i pojechałem do niego. Pokazał mi pole bitwy pod Grunwaldem, niemiecki pomnik Tannenbergu, św. Lipkę i wsie, gdzie ludzie bali się odpowiadać po polsku. Bardzo pouczające było obejrzenie krajobrazu, a nawet ras koni, których używali Mazurzy, koloniści niemieccy i potomkowie zniemczonych Prusów na Sambii. W Królewcu spotkałem Melchiora Wańkowicza z córką „Tirli-porkiem” i byłem z nimi w zamku Lochstedt i w Tenkitach, gdzie miał zginąć św. Wojciech oraz na Rudawskich Błoniach, gdzie poniósł klęskę Kiejstut, maszerujący na Królewiec. Sam zwiedziłem kościół w Juditten. Poznanie kraju jest zawsze niezbędne dla zrozumienia wydarzeń.

Po kilku dniach przerwy zabrałem się do pracy nad korespondencją Zakonu z obszaru Ziemi Chełmińskiej. Ograniczenia, nałożone mi przez dyrekcję, uchroniły mnie przed utopieniem się w masie zachowanego materiału. Pracowałem intensywnie i szybko. Źródła przyniosły niewiele nowych zdobyczy. Po południu zwiedzałem miast. W księgarni Graefe u. Unzer znalazłem czasopismo mazurskie, ale gdy wróciłem po raz drugi z pieniędzmi, odmówiono mi sprzedania go. W archiwum była wystawa dokumentów poczynając od bulli cesarza Fryderyka II z 1226 r. Jak wynikało z drukowanego przewodnika, ostatnim dokumentem był list jakiegoś urzędnika polskiego z Działdowa z prośbą o zwrot akt kasy pożyczkowej „w interesie przeważnie niemieckiej ludności powiatu”. Urzędnik ten miał nazwisko szlacheckie z przydomkiem herbowym i pochodził zapewne z zaboru austriackiego. Swym pismem chciał, jak widać, „ułaskać gada”. Ale mnie odmówiono zgody na obejrzenie tej wystawy. Popołudniami odpoczywałem, jeździłem kąpać się na Mierzeję i raz omal się nie utopiłem. Po niecałym miesiącu (na tyle miałem stypendium) skończyłem przeglądanie akt i robienie wyciągów i wróciłem do Polski przez Malbork. Jeszcze tegoż lata odbyłem wycieczkę morską do Danii (5 dni). Mieszkaliśmy i jadaliśmy na polskim statku. Zwiedziłem, ile się dało, miasto i muzea. Odtąd myśl o napisaniu porównawczych dziejów Danii i Polski zaczęła powracać raz po raz. Ale na razie nie mogłem o tym myśleć. Nowy wyjazd do Królewca nie wchodził w grę. Napisałem o szykanach, na co odpowiedział mi w druku Maschke, że archiwum było w porządku, i że mnie w przyszłości do zbiorów nie dopuszczą. Tak też pisał Hein do archiwum w Gdańsku. Myślę, że mój artykuł wzmiankujący o szykanach — był błędem, bo tylko rozognił niechęci. Ks. dyr. J. Nowacki w odwet odmówił dopuszczenia jakiegoś Niemca do archiwum archidiecezjalnego w Poznaniu. Trzeba się było wyrzec myśli o rozszerzeniu tematu na całe Prusy. Należy zaznaczyć, że cała nauka historyczna w Niemczech, nie tylko archiwiści, zajmowała stanowisko polityczne zupełnie jednolite, popierając politykę Rzeszy. Po wielu latach, w r. 1962 lub 1963, w rozmowie ze mną profesor Heinrich Sproemberg z Berlina Wschodniego zwierzył się, że był latami dyskryminowany w Drugiej i Trzeciej Rzeszy. Uważał on i nie krył się z tym, że najazd niemiecki na neutralną Belgię w 1914 r. był naruszeniem układów zawartych przez Rzeszę, która gwarantowała neutralność tego małego kraju. Głosił, że Belgowie — wbrew propagandzie niemieckiej — nie złamali pierwsi układu. Powiedziano mu wówczas: „Z takimi poglądami Pan nigdy profesorem nie będzie”. Cała bowiem nauka niemiecka stwała w obronie uderzenia na Belgię, a winę złamania traktatów składała na ten kraj. Sproemberg, który był wybitnie zdolny, nie utrzymał się na uniwersytecie, nie drukowano jego prac, tułał się po małych posadkach z trudem utrzymując rodzinę. Pod rządami narodowego socjalizmu pracował w jakiejś spółdzielni. W 1945 r. pozostał w NRD i tu dawni hitlerowcy (Roerich) usiłowali go denuncjować.

Ale im się to nie udało. W ciągu kilku lat Heinrich Sproemberg stał się odnowicielem nauki historycznej w NRD, wykształcił wielu zdolnych uczniów i dał miarę swych talentów jako historyk. Ale był wyjątkiem, który nie załamał się wśród nacisków i kłesk. Dlatego na bezstronność historyków niemieckich przed 1945 r. w stosunku do Polaków nie było można liczyć.

Zabrałem się do pisania *Szlachty chełmińskiej*, rezygnując z możliwości rozszerzenia badań na całe Prusy. Ale szło mi ciężko z powodu przeciążenia pracą zarobkową w szkole. W jesieni 1936 r. wymówiono mi pracę w prywatnym gimnazjum, w którym uczyłem, ponieważ odmówiłem zgody na obniżkę pensji. Stało przede mną widmo bezrobocia i szukanie posady gdzieś w Łodzi, gdzie — jak mówił mi kolega J. Hałasiński — były szkoły średnie prywatne, tylko że nieuczciwe i zalegające z wypłatą pensji. Sam myślałem o przeniesieniu się do Łodzi. Ale wtedy sprawą moją zajęli się profesorowie historii, szczególnie Kazimierz Tymieniecki i Kazimierz Chodynicki, którzy uzyskali u nowego kuratora dra Jakóbca przyjęcie mnie do służby państwowej w nowo utworzonym Pedagogium Państwowym wraz ze zniżką godzin dla pracy naukowej. Jednak pensja była niska. Dano mi więc na uniwersytecie godziny zlecone. Dzięki temu mogłem dokończyć *Szlachtę chełmińską* i inne pomniejsze rozprawy, atmosfera zaś zakładu z nieodżałowanym dyrektorem Sułkowskim na czele była bardzo miła, młodzież odznaczała się pracowitością i zapałem. Musiałem rozszerzyć trochę specjalizację na socjologię, co było z pożytkiem. W r. 1939 uzyskałem zaliczenie stażu pracy w szkole prywatnej i stanąłem jako tako na nogi pod względem finansowym.

Pracę *Szlachta chełmińska w XV w.* złożyłem w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Obejmowała ona ok. 30 arkuszy druku. To wszystko zginęło podczas wojny i okupacji, tak samo bruliony i materiały. Znalazła się w 1945 r. w naszym mieszkaniu, zajętym przez Niemców bałtyckich, tylko jedna fiszka w skrzyni na węgiel. Jednakże przed wojną zdołałem wydać drukiem jeden rozdział: *Polacy i Niemcy w Ziemi Chełmińskiej* wraz z całym aparatem naukowym. Wydałem też artykuł syntetyczny *Pierwsze czterdzieście Prus Królewskich*. Coś mnie popędzało, by drukować rzeczy napisane, jak np. *Ustrój państwa i zakonu krzyżackiego*. Prace moje były potajemnie tłumaczone na niemiecki i powielane w „Dienststelle” przy naczelnej dyrekcji archiwów pruskich pod kierownictwem dra J. Papritza. Przekładów dokonywano bez mojej wiedzy i zgody „dla celów służbowych”. Przetłumaczono w ten sposób cztery moje prace, o czym dowiedziałem się dopiero po wojnie. Niezależnie od tego tłumaczono recenzje, co, jak się miało okazać, było bardzo niebezpieczne, bo treść bywała przeinaczana. Kto to robił — nie wiem.

W początkach 1939 r. byłem na jakiejś sesji naukowej w Gdańsku i przy tej okazji zaszedłem do archiwum. Przejrzałem repertoria zawierające rejestry korespondencji w XV w. i złożyłem wnioski o dopuszczenie do opracowania tematu: *Starostowie malborscy XV w.* Jak dziś wiadomo, sprawa oparła się

o Królewiec — korespondencję odnalazł dr Cz. Biernat. Ale ja tylko badałem grunt, bo na podjęcie tego tematu nie miałem czasu ani sił. Książkę o starostach malborskich przygotowałem i opublikowałem po wojnie. Wiązała się ona ściśle z zagadnieniem rzekomego ucisku polskiego w XV w.

W jesieni 1937 r., o ile pamiętam, zgłosiła się do mnie na ćwiczenia grupa wolnych słuchaczy Niemców, studentów prywatnego luterańskiego seminarium duchownego z Poznania. Ćwiczenia obejmowały czytanie fotokopii tekstów źródłowych niemieckich XV w. oraz ich komentarz. Zwykle uczęszczało na nie 5—6 studentów, teraz nagle pojawiło się 14 czy 15 Niemców. Wobec tego podzieliłem uczestników na dwie grupy: do 15 ewangelików Niemców dołączyłem księdza ze Śląska, który dobrze umiał po niemiecku, resztę zaliczyłem do grupy polskiej. Polacy okazywali większą bystrość przy fonetycznym odczytywaniu starych tekstów, podczas gdy Niemcy niewolniczo trzymali się ortografii, a ta w XV w. nie znała jeszcze reguł. Niemcy byli pracowici i uprzejmi. Jeden tylko dość zuchwale żądał, bym przyjął od niego referat po niemiecku. Wyjaśniłem, że ustawa państwowa przewiduje język polski jako wykładowy na uniwersytetach. Student ten przestał uczęszczać na moje ćwiczenia. Jeden ze studentów, który mnie często odprowadzał, zapytał mnie, czy jest zwyczaj, że studenci odwiedzają profesorów, jak to ma miejsce w Niemczech. Odpowiedziałem, iż nie ma tego zwyczaju. Przykre chwile przeżywałem wiosną 1939 r., gdy studenci Polacy zwołali więc protestacyjny przeciw zakusom niemieckim, a studenci Niemcy przyszli na zajęcia. Oczywiście ćwiczenia się odbyły, ale atmosfera była napięta. Aby ją rozładować, pytałem Niemców, gdzie spędzą lato. Zwykle brali posady korepetytorów u właścicieli majątków-Niemców. Jeden z zapytanych odpowiedział, że będzie pod Warszawą, co wywołało u innych jakieś zaniepokojenie. Uważałem, że mówi o korepetycjach. Nie spotkałem ich więcej.

#### OSTATNIE MIESIĄCE PRZED WOJNĄ

W r. 1938 byłem w Funduszu Kultury Narodowej, by prosić o stypendium na wyjazd za granicę. P. Dzik zwrócił mi uwagę, że przecież w 6 lat po habilitacji powinienem wyjechać na Zachód, gdyż to należy do wykształcenia profesora. Wybrałem Włochy, gdzie mogłem szukać czegoś do Krzyżaków. Stamtąd miałem pojechać do Zurychu na VIII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych. Podróż miała trwać 6 tygodni. Przyniosła mi ona prawdziwe olśnienie kulturą średniowiecza i renesansu. Zamierzałem dotrzeć na Malte, ale zabrakło mi pieniędzy. Kongres w Zurychu w początku września 1938 r. był inny niż warszawski. Ciężyla na nim groza wojny. Niemcy przybyli licznie, ale z Polakami stosunków nie utrzymywali. Czesi byli zupełnie osamotnieni i głęboko przeżywali położenie swego kraju.

Biedrzych Mendl był zgnębiony jakby przewidywał swą rychłą śmierć. Grupa Polaków z Zygmuntem Wojciechowskim na czele starała się im dotrzymywać towarzystwa. Wystąpienia niemieckie były agresywne i podkreślały, że Polska i Węgry były od początku lennami Rzeszy. Węgrzy milczeli, choć ich to bolało. Zabrałem głos przedstawiając polskie stanowisko, ale Niemcy byli niezdolni do rzeczowej dyskusji. Francuzi z obawy przed wojną opuszczali kongres przed jego końcem. W takiej atmosferze wróciłem do kraju i dalej pracowałem nad korektami i zaczętymi rozprawami. Ale o skupienie było trudno.

W końcu r. 1938 lub w początkach 1939 miało miejsce w Poznaniu spotkanie interdyscyplinarne, mające duże znaczenie naukowe. Dla mnie było ono czymś niezwykłym. W Poznaniu istniało od wielu lat zainteresowanie kompleksowym badaniem przeszłości ziem polskich w starożytności. Przewodził tu profesor Józef Kostrzewski.

Otóż na przełomie 1938/39 Oddział toruński Polskiego Towarzystwa Historycznego zwołał posiedzenie, na którym obok historyków byli: profesor Józef Kostrzewski, archeolog; profesor Z. Moczarski, genetyk; prof. H. Ułaszyn, sławista; doc. K. Stojanowski, antropolog. Posiedzenie zagał prof. Moczarski. Wyszedł on z założenia, że najeźdźcy zabijają mężczyzn, a zagarniają kobiety, dzieci i bydło. Wysunął tezę, że analiza ras bydła powoli odtworzyły kolejne fazy osadnictwa od czasów najdawniejszych. Spodziewał się też, że archeologia z antropologią pozwolą podbudować tę tezę. Dyskusja była pasjonująca. Ostatecznie utrzymała się teza, że po ludności paleolitu i mezolitu (rybacy) napłynęła w neolicie fala ludności rolniczej z krajów śródziemnomorskich, prowadząc bydło rasy czerwonej. Uprawiała ona pszenicę, jęczmień i proso. Odrzucono jednak możliwość istnienia antropologicznych cech zewnętrznych jako podstawy do badań czasów tak odległych, po których przyszła fala najazdu ze wschodu. Uznano natomiast, że badanie grup krwi mogłoby dostarczyć więcej danych (50% grup krwi takich jak w Afryce). Prof. Ułaszyn zdecydowanie odrzucił możliwość badań językoznawczych, gdyż języki słowiańskie zaczęły się rozwijać dopiero w początkach naszej ery. To zebranie było szczytowym osiągnięciem środowiska poznańskiego w latach międzywojennych. Owocem tej dyskusji miała się stać po latach książka Kazimierza Tymienieckiego. Recenzję tego dzieła zamieściłem w czasopiśmie „Scandoslavica”, które redagował prof. Stender Petersen<sup>5</sup>.

#### WOJNA

Dn. 10 sierpnia zostałem powołany na 6-tygodniowe ćwiczenia rezerwy do 7 p. strzelców konnych w Biedrusku koło Poznania. Później mobilizo-

<sup>5</sup> K. Tymieniecki: *Ziemie polskie w starożytności, ludy i kultury najdawniejsze* (Prace Komisji Historycznej TPN w Poznaniu, t. 24). Poznań 1961. Moja recenzja *A new approach to the Polish Territories of ancient time*. „Scandoslavica” vol. 6 za 1960 s. 796—203.

wałem pluton i poszedłem z pułkiem na wojnę. Byłem ranny w głowę, do niewoli dostałem się przy kapitulacji Warszawy. Po wojnie został mi przyznany Krzyż Kawalerski „Virtuti Militari”. Od 1 października 1939 r. przez 5 lat i 4 miesiące przebywałem w niewoli niemieckiej. W początku września 1939, po zajęciu Poznania przez Niemców, do mieszkania naszego, gdzie zostali moi rodzice, zgłosił się dr Ernst Turowski z dwoma żandarmami hitlerowskimi. Otworzył mój ojciec. Na zapytanie o dra Górskiego ojciec odpowiedział, że nim jest. Okazało się, że chodzi o mnie i że jestem na wojnie. Dr Ernst Turowski kazał się zaprowadzić do mego biurka, otworzył je i przeszukał. Wreszcie znalazł i przeczytał. Była to recenzja jego dysertacji doktorskiej, którą potraktowałem ostro. Dr Turowski powiedział: „Der hat Recht, aber ich werde ihm doch finden” („Ma rację, ale ja go jednak znajdę”). Potem poszedł z żandarmami. Ojciec mój, który nie dożył końca wojny, polecił powtórzyć mi tę rozmowę. Chodziło o to, że stawiając Turowskiemu zarzuty niewykorzystania literatury tematu (*Prusy Królewskie w latach 1466—1569*), napisałem, że nie zacytował nawet całej niemieckiej literatury. Zazaczyłem, że winien jest nie on, ale jego profesor, który nawet mu tej literatury nie wskazał. Turowskiemu dostarczono przekład lub wyciąg z recenzji pomijając słowa o winie profesora. Przeczytawszy całość (po polsku!) uznał, że miałem słuszną rację. W aktach Gestapo w Poznaniu znaleziono elaborat, omawiający polityczne stanowisko profesorów i docentów uniwersytetu poznańskiego w stosunku do narodowego socjalizmu i Rzeszy. Była to podstawa do aresztowań i wysiedleń. Zajmowałem w tym elaboracie dość poczesne miejsce. W jesieni 1939 r. jak do mnie doszło, poszukiwało mnie Gestapo, ale przecież byłem w ich ręku jako jeniec. Mógł to być epilog mojego życia.

#### NIEWOLA

W nocy z 30 września na 1 października 1939 r. 7 pułk strzelców konnych, już bez broni, wymaszerował z Warszawy do obozów przejściowych, a później oficerowie zostali wywiezieni do Niemiec. Wojnę odbyłem w stopniu podporucznika rezerwy i dowódcy plutonu. Żona z dziećmi, która schroniła się w Lubelskiem, wróciła do Poznania, skąd została wraz z moimi rodzicami wywieziona do obozu w Główniej, a potem do Generalgouvernement i osiadła w Milanówku. Brat mój zginął w Anglii w 1941 r.

Wywieziono nas do obozu w Brunzshwiku Oflag XI C. Opisał go doskonale gen. dyw. Józef Kuropieska, który również przebywał tam od początku. Po pierwszych tygodniach zdenerwowania i prostracji, poszukiwań rodzin i zastanawiania się nad dalszym przebiegiem wojny przyszło ocknięcie. Trzeba było czymś się zająć. Podczas I wojny światowej belgijski historyk Henri Pirenne siedział przeszło 4 lata w niewoli niemieckiej i opracował nową syntezę dziejów Europy w średniowieczu, przesuwając koniec

starożytności do czasów podboju muzułmańskiego Afryki Północnej i Hiszpanii i Karola W. Ale ja nie mogłem się zajmować historią Pomorza, wiedziałem bowiem, że spoczywa na mnie argusowe oko Abwehry, która miała swych agentów wśród jeńców. Dowiedziałem się po wojnie, że historyk francuski Fernand Braudel prowadził w obozie jeńców wykłady z historii zlewiska Morza Śródziemnego, które zaowocowały w postaci wielkiej syntezy i międzynarodowych kollokwiów w Prato. Ja myślałem o historii porównawczej krajów zlewiska Bałtyku, przypominając sobie historię Danii i swój pobyt w tym kraju w 1935 r., ale nie miałem książek. Natomiast była potrzeb wykładow z historii Polski. Z propozycją taką zwrócił się do mnie geograf Henryk (?) Zaremba z Warszawy. Gdy było nam coraz ciężej, podjąłem wykłady z dziejów Polski, których celem i zadaniem było obudzenie wiary w zwycięstwo i przetrwanie. Zrazu mówiłem tylko z pamięci, potem napłynęło trochę książek. Mówiłem o klęskach, po których Polska podnosiła się do nowego życia. Wykłady te miały silny ładunek emocjonalny, ale trzymały się ustaleń nauki. Na wykłady moje chodził cenzor, student historii, który polecił oficerowi pocztowemu, by prosił mnie o zgodę na jego uczęszczanie. Był to dowód delikatności. Zawiadomił on o moich wykładach swego profesora Percy Ernsta Schramma, który, jak się później dowiedziałem, chciał mi posyłać książki naukowe i materiały piśmienne. Abwehra się na to nie zgodziła. Ów student został później profesorem w Hannoverze. Jako profesor Mediger przekazywał mi po wojnie pozdrowienia, aleśmy się nie spotkali. Wkrótce zresztą zastąpił go inny cenzor.

Wykłady moje nabierały coraz bardziej barw dramatycznych. Pamiętam, jak w przeddzień upadku Francji, w atmosferze przygnębienia mówiłem o Ceorze i o tym, jak Polska dźwignęła się po klęsce. Ten wykład kosztował mnie wiele pracy myślowej i wiele wysiłku. Chciałem tak powiedzieć, by Polacy zrozumieli, a niemiecki cenzor nie rozumiał. I to się udało.

Po klęsce Francji przeniesiono nas do nowego obozu w Woldenbergu-Dobiegiewie (II 'C), gdzie pozostawaliśmy do 1945 r. Gen. Kuropieska doskonale odmalował komendanta obozu gen. Puttkammera — jego butne przemówienia i pogroźki. Był on bardzo nam nieprzychylny i dopiero we wrześniu 1940 pozwolił na wznowienie pracy kulturalno-oświatowej i sportu, co było gwarantowane przez konwencję genewską. Wznowiłem wykłady — rozpoczynając od Ceorzy. Na wykład przyszedł oficer sądowy, co mogło źle wróżyć. Powiedziano mi, że to Austriak. Mówiąc o Ceorze i o przemyśle z Austrią, rzuciłem mimochodem słowa: „I tak te dwie monarchie, wzajemnie się wspierając, kroczyły przez dzieje”. On westchnął. Byłem w domu. Odtąd mówiłem coraz śmieiej.

Frekwencja na wykładach z historii Polski była ogromna — 200-300 oficerów ze stołeczkami zbierało się w sali przy kuchni. Nigdy przedtem ani potem nie miałem takiego audytorium, tak zasłuchanego i tak reagu-

jącego na to, co mówiłem. Mówiłem z pamięci. Wykłady przygotowywałem spacerując po obozie, pod drutami, w kółko. Podświadomie stawałem się krasomówcą. I to było potrzebne dla podtrzymania ducha w obozie. Nie mijałem się nigdy z prawdą, ale przeżywałem miłość Polski. Nie wszystkim się to podobało. Gen. Kuropieska nie był ze mną we wszystkim zgodny, a nawet raczej niezgodny, ale doceniał wykłady pisząc „o wielkiej pracy włożonej w przygotowanie prelekcji, o szacunku dla audytorium, ścisłości naukowej i obiektywności”. Chodziło o wykład o nurtach politycznych w Polsce przed 1918 r., którego zresztą nie pamiętam<sup>6</sup>. Wykładów z historii Polski mogło być 200-300. Doprowadziłem je do trzeciego rozbioru, potem zacząłem na nowo przy zmniejszonej frekwencji dla tych, którzy początku nie słyszeli. Poza tym miewałem wykłady, np. o umysłowości średniowiecza i inne, które się zatarły w pamięci. Wykłady o umysłowości średniowiecza opracowałem na piśmie. Zostały one w 1941 r. wysłane do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża do Genewy, skąd je zwrócono do Warszawy i teraz tekst otrzymałem i mogę zużytkować niektóre myśli, które tam sformułowałem. W sumie tych innych wykładów i odczytów mogło być co najmniej 100. Czytanie i zdobywanie nowej wiedzy było w obozie bardzo trudne. Próbowałem korzystać ze spółdzielni jenieckiej w godzinach pozasłużbowych, ale wtedy zaczynały działać nerwy. Myślałem o popełnieniu drobnego „wykroczenia”, za co mógłbym być ukarany aresztem, a tam panowała cisza, nie było trzypiętrowych łóżek (prycz) i gwaru rozmów, który towarzyszył nam cały dzień. Ale z Niemcami nie było można żartować. W 1942r. oddano nam do użytku nowe świetlice i utworzono pracownię dla naukowców. Miałem wtedy stolik i kąt do pracy umysłowej, ale przekonałem się, że to, co czytam, nie wchodzi do głowy, a to, co się notuje, ulega zatarciu i zapomnieniu. Dla pracy osobistej nie było tu pola, choć napływały naukowe książki z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, przesyłane za pośrednictwem YMCA. Trochę z tych lektur zostało mi w pamięci. Usiłowałem notować pomysły i wyniosłem z obozu zeszytik z napisem: *Okruchy*, ale z tego prawie nic się nie ostało w konfrontacji ze źródłami. Wyjątek stanowią wypisy ze zbiorowej historii kościoła Martin i Fliche’a, która ukazywała się podczas wojny. Zużytkowałem je w pracy o sprawie św. Stanisława, a dotyczyły prawa kanonicznego przed Grzegorzem VII. Inne pomysły były wykoślawione przez przerosty wyobraźni. Zdobyłem się na kilka myślowych szkiców, które później zrealizowałem, jak syntezę dziejów krajów nadbałtyckich, plan seminarium historii mistyki, który zaowocował w postaci książki. Lektury z socjologii nie przyniosły dotąd ostatecznego wyniku, ale wciąż pozostają mi w myśli i będę jeszcze o nich pisał. Jeden kierunek przemysłów dobrze zrealizowałem — sprawę wydawania źródeł. Myślałem o tym wiele, o zaniedbaniach dwudziestolecia, o tym, że edytorzy źródeł kończyli na jednym

<sup>6</sup> J. Kuropieska: *Obozowe refleksje. Oflag IIC*. Kraków 1985 s. 129.



tomie lub zeszytach próbnym, który przynosił poklask, ale nie owocował w postaci serii tomów. Śrubowano coraz wyżej wymagania metody, domagano się wydawnictw wzorowych, skomplikowanych, naśladowujących rękopiśmienny pierwowzór, co było czasochłonne i kosztowne. Nie liczone się z tym, że człowiek jest zdolny do ograniczonego w czasie wysiłku. Pytałem samego siebie, czy nie lepiej było wydawać źródła metodą prostą, jak w XIX w., za to uchronić je przed zniszczeniem. Myśli te nurtowały mnie szczególnie po zniszczeniach w Warszawie w czasie powstania w 1944 r. Przemyslenia te zastosowałem po wojnie.

Główny jednak wysiłek spoczywał na pracy dydaktycznej. Przede wszystkim pragnęli doksztalać się nauczyciele, aby uzupełnić swe kwalifikacje, a niektórzy, by zapoczątkować studia wyższe, o których marzyli. Na pierwszym miejscu pod względem ilości chętnych stał Wyższy Kurs Nauczycielski, którym kierowałem — z braku kogoś innego — przez 3 kadencje, zakończone egzaminami, łącznie 154 dyplomy. Drugą grupę stanowili słuchacze Instytutu Pedagogicznego, którzy podjęli pracę, by dokończyć swe studia. Wreszcie podjęto inicjatywę zorganizowania studiów akademickich. Poza nauczycielami miałem wykłady dla studium prawników, gdzie nie było samodzielnych pracowników naukowych ani regularnie zorganizowanych egzaminów. Wykładałem historię ustroju Polski, do czego był podręcznik St. Kutrzeby. Do egzaminu zgłosiło się niewielu kandydatów, a grono nauczycieli akademickich z prof. Kazimierzem Michałowskim na czele nie brało odpowiedzialności za poziom tego studium. Ja się zdecydowałem na ten jeden wykład.

Zorganizowanie studiów akademickich tajnych stało się możliwe od jesieni 1942 r., kiedy zaczęły napływać regularnie paczki z kraju i z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Władze niemieckie oddały do dyspozycji polskiego Starszego Obozu budynki świetlic. Studia akademickie musiały być tajne ze względu na Gestapo i zakaz takich studiów przez okupanta w kraju. Opisałem je w osobnej rozprawce<sup>7</sup>.

Dnia 25 stycznia 1945 r. w całym obozie panował ruch. Wieczoru poprzedniego widać było od południa błyski wystrzałów i dochodził huk dział. Walki toczyły się nad Notecią w okolicy Drezdenka. Obóz szykował się do wymarszu. Rano wyszliśmy poza druty. Dnia 30 stycznia nasza grupa, licząca ok. 3000 ludzi, została oswobodzona przez wojska radzieckie nie bez naszych strat. Odeszliśmy na wschód, do Polski. Jednym z pierwszych pociągów z wielkopolskiego Goraja pojechałem do Milanówka, gdzie zastałem rodzinę. Rodzice moi i brat nie żyli. Spotkałem się z profesorem Kazimierzem Tymienieckim i z Zygmuntem Wojciechowskim. W końcu lutego udaliśmy się z żoną, otwartą węglarką, do oswobodzonego Poznania. Rozpoczął się nowy okres życia i pracy.

---

<sup>7</sup> *Uniwersytet za drutami*. „Nadodrze” z 13 I 1974.

## POZNAŃ 1945

Po przyjeździe do Poznania odzyskaliśmy część mieszkania przedwojennego. Część moich książek znalazła się w podziemiach kościoła św. Michała. To, co okupanci skonfiskowali na początku, poszło do podziemi; to, co zwożono z prowincji, było we właściwym kościele, który spłonął w 1944 r. od bomb amerykańskich. Ocalało niewiele moich książek, inne znalazły się np. w prywatnym mieszkaniu w Szczecinie, w Toruniu, jedną przysłano mi z Krakowa. Była to książka Mariana Fiedberga, wydana przed wojną, z dedykacją dla mnie. Niemcy przekazali ją do biblioteki uniwersytetu w Marburgu, skąd ją ewakuowano na Śląsk, a po wojnie przesłano do Krakowa. Wszystkie notatki, bruliony i inne materiały — jak pisałem — uległy zagładzie.

Uniwersytet Poznański odbudowywał się szybko i już wiosną r. 1945 rozpoczął się skrócony rok akademicki 1944/45, który zakończono w lipcu czy sierpniu. Potem studenci pojechali na żniwa na opustoszałe ziemie zachodnie. Mój wkład w odbudowę uniwersytetu nie był wielki. Biblioteka przedwojennego seminarium historycznego została zniszczona niemal bez reszty. Udało mi się uzyskać bibliotekę ponemiecką, przewiezioną z Łotwy do Cichowa. Właściciel tego majątku, mój dawny uczeń — Leon Bukowiecki, przekazał ją uniwersytetowi w ostatnich dniach przed reformą rolną. W bibliotece były kodeksy dyplomatyczne z całych północnych Niemiec i sporo literatury fachowej. Wysilek włożony w przywiezienie części książek do Poznania skończył się chorobą serca. Unieruchomiła mnie ona do jesieni. Miałem jechać do Szczecina objąć i zabezpieczyć tam archiwum, ale nie pojechałem. Mogłem tylko prowadzić wykłady jako docent etatowy.

Instytut Zachodni, do którego przystąpiłem, zamówił u mnie książkę: *Państwo krzyżackie w Prusach*. Zacząłem ją pisać chyba w maju 1945, pisałem z pasją, odtwarzając zarazem swój warsztat. Praca postępowała szybko i na jesieni książka była gotowa. Ukazała się ona wiosną r. 1946 w ramach wydawnictw Instytutu Bałtyckiego, któremu ją odstąpił Zygmunt Wojciechowski. Książka ta uzyskała w r. 1948 nagrodę Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Potem zacząłem pracę nad dziejami krajów w zlewisku Bałtyku, owoc przemyśleń w obozie jeńców. Nie mogłem liczyć na katedrę w Poznaniu, myślałem o KUL, ostatecznie zdecydowałem się na Toruń — z chwilą, gdy mi dziekan wydziału humanistycznego zaproponował katedrę w imieniu organizatora uniwersytetu — Ludwika Kolankowskiego. Miała ona nazwę „dziejów ziem pomorskich i krajów nadbałtyckich”. Pierwszy wykład miałem w końcu listopada 1945 r. Na razie dojeżdżałem z Poznania, oczekując na mieszkanie i zbierając zasoby do biblioteki seminarium.

Z powołaniem mnie do Torunia związała się sprawa udziału w pracach Instytutu Zachodniego, który utworzył filię w Toruniu, poświęconą badaniom

geograficznym Ziemi Północnych. Akcję tę prowadziła z rozmachem profesor Maria Kielczewska-Zaleska, którą mianowano kierowniczką toruńskiego oddziału Instytutu Zachodniego. Ja zostałem jej zastępcą. Uzyskaliśmy mieszkanie i przenieśliśmy się w maju 1946 r. do Torunia. W pracach oddziału kierowałem badaniami nad geografiami historyczną, co otwierało na przyszłość możliwość zatrudnienia młodych badaczy. Dla mnie ten drugi etat rozwiązywał sprawę utrzymania rodziny.

#### UNIwersytet MIKOŁAJA KOPERNIKA

Uniwersytet ten powstał z niczego. Przed wojną istniał zamiar powołania do życia tej uczelni dla uczczenia pamięci wielkiego astronoma w 1943 r. W budżecie na rok 1940 miały być pewne sumy na przyszły uniwersytet. Zabiegał o to Zygmunt Wojciechowski, podczas gdy Niemcy — poinformowani o tych planach — chcieli założyć uniwersytet o tej samej nazwie w Elblągu. Zrezygnowali z tej myśli po zwycięstwie nad Polską w 1939 r., gdyż nie myśleli o nowym ośrodku badawczym, a jedynie o kontrakcji politycznej. Ze strony polskiej myślano jednak poważnie o takim ośrodku. Na początku miał to być wydział zamiejscowy Uniwersytetu Poznańskiego, na profesorów przewidywano doc. dra. Rajmunda Galona — geografa i mnie jako historyka. Ale w 1945 r. nie było żadnych nawiązań do planów sprzed 1945 r., nawet o nich nie wiedzano wśród działaczy miejscowych w Toruniu, którzy podjęli zamiar założenia uniwersytetu. Zabiegano równocześnie o przyjazd profesorów z Wilna. Ostatecznie organizatorem z ramienia ministerstwa został Ludwik Kolankowski.

W 1957 r. bawiła w Polsce grupa profesorów angielskich, która chciała zapoznać się z metodami tworzenia nowych uczelni. W Toruniu spotkał ich, jak się zdaje, zawód. Całe środowisko zostało dostarczone przez przedwojenne uniwersytety wileński i lwowski. Wilno dostarczyło ponadto rzecz nieocenioną: cały aparat administracyjny od kwestora po woźnych, pełnych życzliwej ufności w te wielkie walory, jakie wnosi uniwersytet, przekonanych o wadze własnego ich udziale w tworzeniu go, ofiarnych i oddanych. To nie była rzecz mała dla ludzi przybyłych z różnych stron Polski po przejściach lat wojny i okupacji.

Napisałem garść uwag o początkach studiów historycznych w Toruniu i nie będą ich powtarzać<sup>8</sup>. Chciałbym się ograniczyć do uwag o atmosferze środowiska. Przybyły też wraz z profesorami stare zatargi i kwasy. Łagodził je umiejętnie Bronisław Włodarski, któremu środowisko i ja osobiście wiele zawdzięczaliśmy. Rozumiałem się też z nim w sprawie wymagań

<sup>8</sup> *Polska nauka historyczna — problemy odbudowy*. Art. K. Górskiego o Toruniu, „Kwartalnik Historyczny” 1979 z. 3 s. 627—630.

dydaktycznych i metod badań. Ludwik Kolankowski miał wielkie zrozumienie dla wydawnictw źródłowych, które prowadziłem; podobnie Kazimierz Hartleb, który był człowiekiem bardzo ofiarnym i oddanym sprawom nauki polskiej. Z prawników najbardziej lotny i twórczy umysł posiadał Karol Koranyi, który jednak rychło odszedł do Warszawy. Bliskie stosunki łączyły mnie z Ryszardem Mienickim i Bronisławem Pawłowskim, których zainteresowania były dalekie od moich.

Na pierwszym miejscu stała w moim przekonaniu sprawa wychowania młodej kadry. Wojna i okupacja zniszczyły i rozproszyły, jak obliczam, 20 roczników między najstarszą młodzieżą a najmłodszymi profesorami. Nie tylko nie było nikogo młodszego, kto by mógł przekazywać tradycje badawcze, metody, problematykę, ale zachodziła obawa, że po odejściu starzejących się szybko profesorów miejsca ich zajmą ludzie przypadkowi typu gadatliwych nauczycieli, którzy nie potrafią wychować badaczy. Dlatego tak ważne było wykształcenie pracowników naukowych właśnie spośród pokolenia studentów 1945/46. Był to bowiem zespół zgoła wyjątkowy. Wśród młodzieży, która przez 6 lat pozbawiona była możliwości studiów, wykrystalizowały się wyraźne zainteresowania i zdecydowana wola studiowania. To była młodzież naprawdę wyjątkowa i profesorowie zdawali sobie z tego sprawę, że warto poświęcić jej wszystkie siły i umiejętności, by wśród panującej biedy, niemal głodowania, przy braku książek — nie uronić żadnych zdolności i odtworzyć to, co zniszczyła okupacja. I to się powiodło.

Oparciem materialnym dla młodych badaczy stał się w pewnej mierze Instytut Zachodni i prace nad atlasem historycznym Polski. Prace nad tym atlasem prowadzone były na szeroką skalę pod kierunkiem Władysława Semkowicza. Były trzy możliwości dania przekroju geograficzno-historycznego przez dzieje Polski: (1) Polska pierwszych Piastów z odtworzeniem szaty leśnej i granic kościelnych, które — być może — przechowały stare podziały plemienne; (2) Wiek XVI w oparciu o spisy podatkowe z 1570 r.; (3) Czasy Stanisława Augusta w oparciu o prace kartograficzne Perthéesa. Jak pisałem, Wł. Semkowicz obrał wariant (3), sam kierował pracami nad Małopolską, Zygmunt Wojciechowski z żoną opracowywali Wielkopolskę. Praca ta była na ukończeniu, gdy przyszła wojna. Wszystko uległo zniszczeniu wraz z materiałami źródłowymi. Pozostały możliwości realizacji tego planu dla Mazowsza, a dla Prus Królewskich w oparciu o tzw. kataster fryderycjański, sporządzony na rozkaz króla Fryderyka II po pierwszym rozbiorze. Znajdował się on w Gdańsku, skąd go ewakuowano podczas wojny. W drodze zaginął. Archiwiści niemieccy przypuszczają, że pociąg został zbombardowany przez lotnictwo alianckie, o czym krążyły pogłoski. Dopiero w wiele lat po wojnie udało się odnaleźć kopię katastru fryderycjańskiego w NRD, ale w 1946 r. o nim nie wiadano. Za zgodą profesor Kiełczewskiej-Zaleskiej postanowiłem skupić swe wysiłki na przekrojowych mapach historycznych Pomorza w czasach Piastów. Podstawą stała się mapa lasów, opracowana przez Kazimierza

Ślaskiego. Na tej podstawie zamierzałem ustalić granice kasztelanii i starszych od nich podziałów plemiennych. Kasztelanie na Pomorzu Zachodnim zostały rozbite przez kolonizację niemiecką. Opracowałem więc mapę terytoriów plemiennych; mapę rysowała moja żona, geografka. Pracy tej nie opublikowałem w całości, jedynie dałem opracowania ziemi Drawczan i Lipiańskiej oraz granic plemiennych Wolinian. Pod moim kierownictwem powstała praca o małym terytorium zwanym „ziemią”, położonym między Liwią, Łużą a Bałtykiem. Z inicjatywy profesora Romana Jakimowicza, który przeprowadzał badania w Kruszwicy, zająłem się pierwotnymi dziejami grodu, które ująłem w postaci analizy geograficzno-historycznej, by wzmocnić wymowę skąpych źródeł pisanych.

Obok tych prac zainicjowałem opracowanie przekrojowe Prus Królewskich w XVI w. Tak powstały prace Mariana Biskupa, przedstawiające własność ziemską i Andrzeja Tomczaka mapa organizacji parafialnej, która pozwalała odtworzyć niektóre bardzo stare podziały administracyjne (kasztelanie). Mapy te były odpowiednikiem map historycznych Pomorza Zachodniego, opracowanych przez badacza niemieckiego Curschmanna, którego praca uległa zniszczeniu podczas bombardowań. Pozostały tylko korektowe egzemplarze map, do których dobrze pasowały jako dalszy ciąg mapy Mariana Biskupa i Andrzeja Tomczaka. Marian Biskup opracował wieś na prawie polskim na Pomorzu pod kierunkiem Profesor Kiełczewskiej-Zaleskiej. Z chwilą powstania Polskiej Akademii Nauk i reorganizacji Instytutu Zachodniego w r. 1952 prace moje nad geografią historyczną Pomorza zostały przerwane. Oddział toruński Instytutu Zachodniego przeszedł do Zakładu Historii Pomorza PAN i nadal prowadzono w nim badania geograficzno-historyczne, m.in. słownik geograficzno-historyczny; w pracach tych udziału już nie brałem, gdyż nie zostałem zaangażowany jako pracownik Akademii. Tak ta gałąź moich zainteresowań została odcięta. Jeszcze wracałem do tych zainteresowań. Wraz z profesorem Rajmundem Galonem, geografem, usiłowaliśmy uruchomić badania przyrostów drzewnych, by stworzyć odpowiedni kalendarz dla prac archeologicznych i historii sztuki. Okolice Torunia z bardzo niską roczną średnią opadów mogły się do tego nadawać. Był to moment, kiedy wycinanie starych drzew w lasach stawiało na przyszłość te badania pod znakiem zapytania. Stare drzewa pozostawały tylko w rezerwach. Opublikowałem w tej sprawie artykuł, udało się zainteresować paleobotanika profesora Zabłockiego, ale zabrakło zainteresowanego badacza, choć były fundusze. Później, gdy plan ten upadł, profesor Galon zorganizował badanie pyłków roślinnych, ale i ta inicjatywa upadła z braku zainteresowanego badacza. Ja sam rzuciłem myśl zastosowania metod geografii historycznej do dziejów mórz, szczególnie szlaków morskich i portów. Ma to znaczenie tam, gdzie skąpe źródła nie pozwalają przeniknąć zagadek przebiegu procesów dziejowych<sup>9</sup>. Ale większe badania skończyły się.

<sup>9</sup> *Zagadnienie geografii historycznej mórz na przykładzie Bałtyku*. „Przegląd Geograficzny” 1976 z. 4 s. 581—588.

Pozostał pewien konkretny dorobek w postaci map i studiów, do którego badacze będą powracać.

#### SEMINARIUM I PUBLIKACJA ŹRÓDEŁ

Na seminarium dawałem studentom tematy prac wykrojone ze zniszczonej monografii: *Szlachta chełmińska w XV w.*, a przede wszystkim dzieje osadnictwa poszczególnych komturstw. Odtworzone zostały też rozdziały o Towarzystwie Jaszczurczym (M. Bartkowiak); o Janie Cegenbergu, przywódcy tego Towarzystwa i Związku Pruskiego (Marian Biskup); o roli Jaszczurkowców w Związku Pruskim (Marian Biskup). Sam napisałem pracę o sprawie Skolimów i zatargu ich z Zakonem, ale znacznie później. Opracowane też zostało szpitalnictwo krzyżackie (I. Janosz-Biskupowa). Pozostały dotąd nieopracowane dzieje rycerstwa chełmińskiego podczas wojny trzynastoletniej i ruina, jaka spadła na kraj. Dawałem tematy z dziejów Pomorza Zachodniego, ale się z nich wycofałem, gdyż terytorium tym zajęło się środowisko poznańskie. Staralem się też nadać memu seminarium orientację edytorską, podejmując różne próby z tymi bardzo zdolnymi adeptami nauki historycznej. Wspólnie z nimi przygotowałem tom tekstów źródłowych pt. *Związek Pruski i poddanie się Prus Polsce* (1949), gdzie znalazły się teksty w brzmieniu oryginalnym łacińskim i niemieckim oraz przekłady i komentarz. Służyć miały następnym pokoleniom studentów.

Ale źródła wciąż pozostawały w Niemczech pod okupacją angielską i amerykańską. Zwołałem w 1947 r. zjazd do Torunia, gdzie specjaliści ustalili, co posiadamy. Było tego bardzo mało i to w stadium porządkowania. Należało czekać. Ćwiczyłem się wtedy sam. Opublikowałem rękopis, z którym dawni badacze wiązali wielkie nadzieje, uważając, że to „rękopis królowej Jadwigi”. Był to formularz Jerzego, pisarza grodzkiego krakowskiego z l. 1390—1415, zachowany w 2 odpisach. Nie był paleograficznie trudny, a praca nad nim była nauką sztuki edytorskiej i stosowania instrukcji wydawniczej. Historycy bowiem trzymają się zawsze instrukcji, by utrzymać konsekwencję i jednolitość całego tomu. Sam formularz nabrał znaczenia po odnalezieniu mów rektorskich uniwersytetu krakowskiego, które zanalizował Jerzy Drewnowski<sup>10</sup>. Druk formularza ulegał przerwom, ale wykonany został bardzo starannie i piękną czcionką. Wreszcie w końcu r. 1947 lub 1948 nadeszły z Niemiec Zachodnich archiwalia wywiezione do kopalni soli w Grasleben w Saksonii. Do Gdańska wróciły recesy stanów pruskich czyli protokoły obrad sejmku pruskiego i obfita korespondencja. Było to, na co czekałem. Tam

---

<sup>10</sup> J. Drewnowski: *Uczony w świadomości polskiego środowiska naukowego pierwszej połowy XV w.* Warszawa 1985, maszynopis pracy habilitacyjnej w Instytucie Historii Nauki, Oświaty, Techniki PAN w Warszawie.

były teksty mówiące o stosunku poddanych króla do Polski, tam były świadectwa o postawie krewnych Kopernika wobec Polski, a przede wszystkim świadectwa, że nie było ucisku polskiego ani opozycji na wzór Związku Pruskiego mimo, że się nieraz uskarżano. Pruscy — poddani Kazimierza Jagiellończyka — nie chcieli dawać pieniędzy ani dopuszczać do urzędów przybyszów z Korony, ale z całym sentymentem i wiernością odnosili się do króla i byli wierni paktom poddania się Polsce z 1454 r. Trzeba było to wydać i to wydać w całości, by położyć kres opowieściom o polskim ucisku, który rzekomo doprowadził do polonizacji kraju.

Zanim archiwalia gdańskie zostały uprzystępnione, korzystałem z tego, co wróciło Torunia i drukowałem mniejsze źródła łacińskie i niemieckie, dotyczące lat wcześniejszych Związku Pruskiego. Opublikowałem też „inventarz” aktów sejmiku Prus Królewskich, aby zastąpić oryginały. W r. 1948 niemiecki historyk, profesor Walter Hubatsch, ogłosił drukiem repertorium akt królewskich Joachima, z którego korzystałem w Królewcu w 1935 r. Umożliwiło to przygotowanie przyszłych wyjazdów, których na razie nie było. Marian Biskup skorzystał z okazji i prosił o mikrofilmy niektórych dokumentów — ku zdziwieniu otrzymał je bez trudu przesyłką pocztową. Wtedy ja poprosiłem o mikrofilmy, dotyczące procesu braci Skolimów z czasów Związku Pruskiego i otrzymałem je. Posłużyły mi one odtworzeniu zniszczonej partii książki: *Szlachta chełmińska w XV w.* W ten sposób odtworzona została istotna część pracy.

Teraz przystąpiłem do zorganizowania zespołu wydawniczego *Aktów Stanów Prus Królewskich*. I to było wynikiem przemyśleń w niewoli. Wśród studentów moich wyróżniał się zdolnościami, siłami fizycznymi, pracowitością i dokładnością Marian Biskup. Był wtedy na IV roku, ale pracę magisterską miał napisaną i ocenioną. Udało się uzyskać dla niego prace zlecone w Towarzystwie Naukowym w Toruniu dla prowadzenia poszukiwań w archiwum w Gdańsku przez kilka miesięcy. Miał kopiować listy do *Aktów*. Ja sam je przerobiłem uprzednio. Dyrekcja archiwum w Gdańsku okazała pełne zrozumienie dla ważności naszej pracy i wypożyczała kolejne tomy recesów do archiwum w Toruniu. Tu udało się uzyskać współpracę P. Anny Ornass, archiwistki. Miałła ona filologiczne wykształcenie jako romanistka, ale chodziła do niemieckiej szkoły średniej. Ojciec jej był przed 1918 r. sędzią w Malbrku. Piszę o tym, gdyż P. Ornass posiadała znajomość także dialektów zachodniopruskich, którymi posługiwały się jej koleżanki w szkole. Rodzina była żarliwie patriotyczna i po r. 1918 przeniosła się do Polski. P. Ornass po r. 1945 pracowała w Archiwum Miejskim w Toruniu. Uzyskałem w Tow. Naukowym fundusze na jej zatrudnienie jako kopistki. Teksty łacińskie miała opracowywać P. Irena Glemma, łacinniczka z Chełmy, a w niektórych wypadkach prof. Zofia Abramowiczówna z UMK. Podstawę metodyczną stanowiły instrukcje: Polska PAU z 1930 r. dla tekstów łacińskich oraz niemiecka z *Monumenta*

*Germaniae Historica*<sup>11</sup>. Kopiści i filolodzy mieli się ściśle ich trzymać, by uniknąć zmiany metody w toku odpisywania. Pełne poparcie dla tych wysiłków i pomoc materialną Tow. Naukowego w Toruniu zawdzięczaliśmy Kazimierzowi Hartlebowi, który mimo ciężkiej choroby zawsze był gotów do udzielenia pomocy i zwołania zebrania Wydziału I Towarzystwa dla powzięcia pilnych uchwał. Ze czią wspominać jego imię.

Ale tego wszystkiego było za mało dla pełnej swobody prowadzenia prac edytorskich. Trzeba było stale mieć pod ręką fotokopie. Postanowiłem zorganizować pracownię mikrofilmową. Mikrofilmy, tak dziś powszechne w użyciu, nie były w Polsce przed rokiem 1939 stosowane. W Krakowie mówiono o nich wzgardliwie: „Jeden Czech przyjechał z aparatem Leica i zrobił sobie zdjęcia z rękopisu Biblioteki Jagiellońskiej. Ale u nas tego nie ma”. W Poznaniu robiono mikrofilmy ad hoc na specjalną prośbę w Instytucie Fizyki. Widać było, że pracownicy czynią to pod moralnym przymusem. Otóż trzeba było zorganizować taką pracownię mikrofilmową w Toruniu. Przed wojną używano aparatu Leica ze statywem. Były do tego specjalne obliczenia pomocnicze. Opublikowałem na ten temat artykuł. Poszukiwania aparatu trwały długo. Sprowadzić go z Niemiec Zachodnich nie było można, z jakichś powodów „Zorka” nie nadawała się. Wreszcie nabyliśmy aparat w dobrym stanie, skonstruowano statyw, pomieszczenie dało Archiwum. Trzeba było znaleźć fotografa. Okazało się to niełatwe. Dobrzy fotografowie liczyli sobie drogo. Nam chodziło o sporządzenie negatywów ze sprowadzanych rękopisów, a ponadto podjęliśmy próbę wydawania odbitek pozytywowych, by w ten sposób powielić źródła, tak łatwo podległe zniszczeniu. Wreszcie udało się pozyskać dobrego fotografa-amatora mgr Krystynę Porębską, historyczkę, która wyszkoliła się w tym nowym kierunku i mogła podejmować nawet trudne prace. Próby stworzenia serii wydawniczej mikrofilmów Aktów Stanów z XVI w. (odpisy toruńskie) nie powiodła się z powodów technicznych. Ale z Warszawy, dokąd sprowadzono kopiarki z Niemiec, archiwa wysyłały do Torunia księgi akt do ponowienia zdjęć, gdyż maszyny były dobre, ale personel niefachowy, tak iż ostrość zdjęć poszczególnych stron była niejednakowa. Zdobycie maszyny z importu kosztowało nas wiele starań, coraz to ktoś nas ubiegał; lecz zasada, że należy mikrofilmować starodruki i rękopisy w bibliotekach i zespoły ważniejszych akt przyjęła się. Zamiast pożyczania oryginałów przysyłano mikrofilmy, pojawiły się czytniki. Ale w l. 1945—1959, kiedy zabiegano w Toruniu o stworzenie pracowni mikrofilmowej, tego jeszcze nie było. Jeśli nie powiodło się stworzenie serii pozytywowych odbitek, to wkrótce w latach sześćdziesiątych wynalazek kserokopii rozwiązał to zagadnienie.

<sup>11</sup> *Instrukcja wydawnicza dla średniowiecznych źródeł historycznych*. „Archiwum Komisji Historycznej PAU”. S. 2 t. 2 (ogólnego zbioru XIV), Kraków 1930 s. 1—40. Instrukcja niemiecka z *Monumenta Germaniae Historica, Deutsche Chroniken*, t. 1 s. 78, t. 2 s. 62, t. 6 cz. 1 s. CCCXI.



Szukałem też sposobu stosowania promieni ultrafioletowych w wypadku, gdy przeniesienie aparatury, np. do małej miejscowości, było praktycznie niemożliwe (np. do jakiegoś archiwum kościelnego). Znalazłem aparat przenośny, stosowany przez geologów w terenie. Nie zaszła jednak taka potrzeba.

Prace nad edycją *Aktów Stanów Prus Królewskich* posuwały się naprzód wolniej niż myślałem. Wzięliśmy jako punkt wyjścia koniec r. 1479, na którym skończył swój tom Franz Thunert (1466—1479). Edycja ta nie jest najlepsza, gdyż wydawca umieszczał zbyt wiele regestów części tekstów, ale, by nie powtarzać rzeczy zrobionych, podjęliśmy kontynuację. Gdy tom I (1479—1488) był gotowy, nagle wypłynęły nowe źródła, mianowicie akta z Fromborka, które wróciły ze Związku Radzieckiego. Trzeba było uzupełnić tom I i daleko posunięty tom II, ale były to materiały bezcenne, zawierające dyskusje na sejmie pruskim między królem Kazimierzem i kanclerzem Krzesławem Kurozwęckim a przedstawicielami stanów. Jest to unikat w skali europejskiej. Słowa dyskutantów, polskie powiedzenia i zwroty zapisywano na marginesie, choć dyskusja toczyła się po niemiecku. Ludwik Kolankowski czytał jako redaktor drugi tom — już kiedy był złożony śmiertelną chorobą i zachwycał się. Porównywał słowa Kazimierza Jagiellończyka i jego sposób bycia podczas dyskusji sejmowych ze słowami i zachowaniem Zygmunta Augusta i dziwił się niezwykłemu podobieństwu. Jak pisałem, popierał wydawnictwo *Aktów* Kazimierz Hartleb, ale inni mediewiści toruńscy odnosili się sceptycznie do moich edytorskich poczynań i nie darzyli mnie zaufaniem. Po ukończeniu I tomu domagano się wyjaśnienia, co to są recesy, bo to w Polsce słowo nieznanne. Ktoś inny chciał, bym się wzrowaę na kodeksach dyplomatycznych numerując akty na bieżąco, a nie układając w pewne całości. Gdy powołałem się jako na wzór na „Hanserecesse”, okazało się, że ów uczonec nie zna go. Gdy dla świętego spokoju pozmieniałem symbole — po wydrukowaniu czepiano się, bym powrócił do dawnego układu. Jeden kolega podał w wątpliwość jakoś odpisu i zażądał kontroli germanisty dla siebie (szykował jakieś teksty gospodarcze) i dla mnie. Zgodziłem się oczywiście. Kontrolę przeprowadził prof. dr Gustaw Foss z Poznania, który przyjechał z poprawkami. W moim rękopisie znalazł jeden tylko błąd, znacznie więcej u kolegi. Kosztowało to sporo pieniędzy, ale przydało się.

Tom I *Aktów* ukazał się w 1955 r., drugi w 1957. Odpis czytałem z P. Orness przed oddaniem na maszynę. Odpis maszynowy sprawdzała P. Orness sama, potem robiliśmy razem korektę szpaltową, ja czytałem oryginał, ona szpalty. Była to transliteracja. Mogłem na to poświęcić 2 posiedzenia tygodniowo po 2 godziny z przerwą. Trzy razy w tygodniu — to za dużo, obawiałem się choroby nerwowej i bezsenności. Drukarnia dawała teksty bardzo staranne. Składacze i korektorzy z całym zrozumieniem podchodzili do tych pomników przeszłości Pomorza, które mówiły o jego związku z Polską. Tak więc dwa pierwsze tomy *Aktów* ukazały się, dwa następne były zaawansowane. Ogrom wysiłku zaczynał ciążyć.

Badacze niemieccy przyjęli wydawnictwo z uznaniem, ale go przeważnie nie czytali. Erich Wiese podejrzewał, że jest źle zrobione. Dopiero w blisko trzydzieści kilka lat później warmiński badacz, Manfred Wermter, przeczytał akta od deski do deski i zachwyił się nowym materiałem. Ale poznali go i docenili Anglicy, Belgowie, Włosi, mając do nich dostęp poprzez moje rozprawy. Ostatnie miesiące druku tomu II *Aktów* przyniosły mi zbliżenie do Ludwika Kolankowskiego, który już w szpitalu wezwał mnie („Tylko Pana wezwałem”) i polecił w jego imieniu pożegnać kolegów w Polsce i prof. F. M. Bartoša w Pradze. Chwila ta była dla mnie najwyższym wyróżnieniem ze strony wielkiego fachowca.

Zastanawiam się dziś, jak podołałem tym wysiłkom. Widzę dwie bardzo różne przyczyny: pierwsza-to ofiarna postawa mojej żony, która wzięła na siebie cały ciężar wychowania synów i prowadzenia domu. Prowadziła synów znacznie lepiej niż bym ja to zrobił z moimi nerwami i zmęczeniem. Druga przyczyna leżała poza mną. Z chwilą wprowadzenia nowej ustawy od 1950 r. seminarium magisterskie przeniesiono na IV i V rok studiów. Uniwersytet Mikołaja Kopernika zrazu tego wyższego szczebla nie otrzymał. Prowadziłem wykład kursowy historii średniowiecznej powszechnej, geografii historyczną i seminarium dla III roku studiów bez prac magisterskich. Kiedy później uzyskaliśmy przywrócenie studiów magisterskich — dla mnie nie znalazło się miejsce pod pretekstem, że trzeba tworzyć mniej seminariów, lecz za to liczniejsze, które kolejno będą prowadzić profesorowie. Ale ja się tego nie doczekałem. Odpadły też zajęcia administracyjne, które przynoszą zawsze oderwanie się od ślęczenia nad źródłami. Nie drukowano też moich artykułów, np. o Koperniku. Nie miałem wtedy żadnej drogi, by oderwać myśl i skierować ją do innych tematów.

Szukałem więc wyjścia w czytaniu dzieł z filozofii i socjologii. Profesor Henryk Elzenberg otrzymał od przyjaciela z zagranicy komplet referatów z kongresów filozoficznych w Paryżu i Amsterdamie. Znalazł się wśród nich tom, poświęcony filozofii historii, który przestudiowałem. Był to obraz dość jednorodny, zdominowany przez idealizm niemiecki. Zrobiłem z tego tomu notatki i rodzaj rozumowanej bibliografii, która nadal u mnie leży. Zacząłem też czytać pisma Maxa Webera, jeden tom za drugim. Podczas pobytu w niewoli dostałem do rąk francuską książkę, której autor ostro krytykował socjologię szkoły Durkheima jako nieprzydatną dla historyka. Nazwisko autora zapomniałem. Proponował on stworzenie dla użytku historyków „rusztowania” pojęć z zakresu socjologii i nową tę gałąź chciał nazwać „koinologią” (od „koinos”, społeczeństwo po grecku). Były to myśli, podobne do moich wątpliwości, gdyż socjologia, jaką tworzył Florian Znaniecki i jego uczniowie, nie dawała się uzgodnić z metodą historyczną. Trzeba było wybierać albo jedno albo drugie. Tymczasem Max Weber dawał teoretyczne założenia i metody zrozumiałe dla historyka, które można było stosować do jego warsztatu. Tak wtedy od ciężkiego wysiłku wydawania źródeł myśl biegła do rozważań

i wspaniałych syntez Maxa Webera. Uważam go nadal za jednego z moich mistrzów i często do niego powracam.

Na marginesie zainteresowań filozofią dziejów i pograniczem z socjologią powstał wówczas przekład ks. Franciszka Sawickiego *Geschichtsphilosophie*. Autor był profesorem w seminarium duchownym w Pelplinie, a mimo polskiego nazwiska uważał się za Niemca. Wobec Polski był lojalny, a hitlerowcy nie dopuścili go do objęcia biskupstwa w Gdańsku. W październiku 1939 r. wszyscy kanonicy i profesorowie seminarium duchownego w Pelplinie zostali wymordowani, jego jakiś oficer niby aresztował i uratował. Po wojnie ks. Sawicki zadeklarował się jako Polak. Wydawał książki po polsku i codziennie chodził na mogiłę zbiorową wymordowanych kolegów. W r. 1920 ks. Sawicki wydał *Geschichtsphilosophie*, która od razu doczekała się drugiego i trzeciego wydania. Była napisana językiem prostym i jasnym, dawała wyraz znajomości nie tylko prądów filozoficznych i socjologicznych, ale i metod historii i właściwości źródeł historycznych. W czasie wojny ks. Sawicki przygotowywał czwarte rozszerzone wydanie. Książka była złożona i po korekcie w drukarni gdzieś na zachodzie Niemiec, kiedy nalot aliancki zniszczył drukarnię i cały nakład książki. Autor nie zdobył się na jej odtworzenie. Kiedy zwróciłem się do niego o pozwolenie dokonania przekładu, wyraził zgodę i zaproponował jako uzupełnienie jeden ze swoich późniejszych artykułów, co miało wystarczyć. Ja jednak przygotowałem uzupełnienie — przegląd literatury z filozofii historii 1920—1957. Po zgodzie ks. F. Sawickiego jego następca popierał myśl publikacji przekładu, który był przewidziany na 1957 r. w wydawnictwie „Pallottinum”. Ale filozof, do którego zwrócił się wydawnictwo, uznał książkę za przestarzałą i zamierzał sam coś wydać. Tak maszynopis leżał u mnie na półce przez lat 17.

#### ROK 1956

Płynęły ciężkie lata. Na zjeździe w Gdańsku w 1954 r., poświęconym dziejom Pomorza, referatu nie miałem. Przez kilka lat nie prowadziłem seminarium magisterskiego ani nie kierowałem zakładem. Jako profesor nadzwyczajny byłem przydzielony do wielkiej zbiorowej katedry historii powszechnej profesora Witolda Łukaszewicza, która obejmowała dzieje od starożytności do czasów najnowszych. Ta katedra — mastodont, licząca kilka dziesiątków pracowników naukowych, odbywała długie posiedzenia, na których referowano stan rozpraw i plany na przyszłość, to znaczy dalszych rozdziałów. Ja nie byłem od tego wyłączony. Po referacie odbywała się dyskusja, w której musiałem jak pierwszy zabierać głos. To nudne i bezpłodne gadanie trwało przez kilka godzin. Seminarium magisterskiego nie prowadziłem. Prócz wykładu kursowego zajmowałem się ćwiczeniami z neografii gotyckiej czyli niemieckiego pisma nowożytnego. Nauczyłem się go na archiwaliach

toruńskich dzięki pomocy dr Heleny Piskorskiej z Archiwum Miejskiego, przygotowałem tablice do ćwiczeń i nosiłem się z zamiarem opracowania skryptu, który był potrzebny archiwistom, pracujących w archiwach na Ziemiach Zachodnich, ale i w Poznaniu i Krakowie. Ale do opracowania skryptu było daleko. Borykaliśmy się z żoną z trudnościami materialnymi, a kiedyś poratował mnie profesor Stefan M. Kuczyński, proponując współpracę w rozbiorze krytycznym Długosza. Profesor Śreniowski zaproponował mi ponowne wydanie Długosza: *Banderia Prutenorum*.

W kwietniu 1956 r. odbył się w Warszawie zjazd mickiewiczowski. Nieoczekiwanie otrzymałem telegram od profesora Kazimierza Wyki, że profesor Ambroise Jobert z Grenoble jest w Warszawie i chce się ze mną widzieć. Profesora z Grenoble osobiście nie znałem. Był to historyk XVIII w., który przed wojną wykładał w Instytucie Francuskim w Warszawie i napisał doskonałą historię Komisji Edukacji Narodowej na podstawie materiałów, które później spłonęły w Warszawie podczas wojny. W ten sposób monografia ta nabrała charakteru źródła i została później przełożona na język polski. Profesor Jobert nawiązał ze mną korespondencję po tym, gdy opublikowałem artykuł o stanowisku jezuitów polskich wobec poddaństwa. Profesor Jobert zamierzał zająć się Polską XVI i XVII w. oraz jej kulturą i miejscem, jakie zajmowała w Europie. Dowiedziałem się o tym, kiedy na zaproszenie profesora Wyki przybyłem do Warszawy i w czasie wielogodzinnych rozmów przedstawiłem to, co zrobiłem z zakresu historii mistyki polskiej. Jobert właśnie tym się interesował i poszukiwał specjalistów. Zachęcał mnie, żebym napisał książkę, ale uważałem, że jest za wcześnie. Odtąd otrzymywałem od niego nową literaturę francuską, dotyczącą historii życia religijnego Zachodu. Dało mi to możliwość pracy w domu nad literaturą, której nikt w Polsce nie miał i którą się nikt nie interesował. Tak nawiązała się nasza przyjaźń, która była mi zarazem zachętą do wytrwania przy obranym kierunku badań. Gdy Jobert zaczął przyjeżdżać na dłuższe pobyty w Polsce w związku z przygotowywaniem książki *De Luther à Mohila* (wyszła w 1974 r.), kierował się do Torunia, gdzie ułatwiłem mu korzystanie z bibliotek i wskazywałem specjalistów. Nasze dyskusje były bardzo owocne. Był to jakiś wielki przełom w moim życiu naukowym.

Wypadki październikowe zastały mnie w Warszawie. Po powrocie Komitet Uczelniany PZPR wezwał mnie do udziału w wiecu młodzieży, która w podnieceniu chciała iść na Węgry. Proszono mnie, bym ze względu na sytuację uspokoił wzburzone umysły, co mi się udało. Nadeszła też decyzja Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, która przyznała mi stopień i tytuł profesora zwyczajnego. Znowu zacząłem prowadzić seminarium magisterskie. Nowa ustawa o szkolnictwie wyższym utworzyła od jesieni r. 1957 katedrę historii powszechnej starożytności i średniowiecznej, a kierownikiem jej zostałem ja. Znowu mogłem mieć asystenta i zacząłem kształcić drugie pokolenie uczniów.

Późną jesienią 1957 r. nawiązałem korespondencję z profesorem Emilem

Lousse z Lowanium, zgłaszając udział w Międzynarodowej Komisji dla Historii Zgromadzeń Stanowych i Parlamentarnych, założonej podczas kongresu w Warszawie w 1933 r. Adres jego dał mi Karol Koranyi, który zachęcał mnie do nawiązania stosunków. Tak też się stało. Jako członek Komisji otrzymywałem kolejne tomy jej wydawnictw, publikowanych przez Emila Loussa oraz wydawany przez niego rocznik „Anciens Pays”. Dało mi to możliwość szybkiego zapoznania się z dorobkiem ostatnich 20 lat na Zachodzie i Wschodzie Europy, a zarazem ułatwiało przemyślenie i lepsze zrozumienie tekstów drukowanych w *Aktach Stanów*. Całe lato 1957 czytałem magistralne dzieło Lousse’a o społeczeństwie Ancien Régime’u. Otwierały się przede mną perspektywy szerokich europejskich horyzontów. Już nie byłem tylko historykiem Pomorza.

#### NIEMCY I DANIA

W roku 1958 otrzymałem zaproszenie do wygłoszenia odczytu na uniwersytecie w Bonn. Zapraszał profesor W. Hubatsch, którego osobiście nie znałem. Wyjazd doszedł do skutku. W Bonn starano się nawiązać stosunki z Polską.

Zostałem tam Profesora O. Bartla z Chrześcijańskiej Akademii Teologii. Zostałem uprzejmie przyjęty. Tematem mego odczytu na uniwersytecie były stany Prus Królewskich po pokoju z 1466 czyli po przyłączeniu do Polski. Referowałem źródła opublikowane w *Aktach*, odrzuciłem wszystkie błędne ujęcia nauki niemieckiej XIX i XX wieku, nawiązywałem do badań Lousse’a. Gospodarze chcieli mnie zaprosić na kolację przed odczytem, ale odmówiłem i wolałem być w napięciu. Istotnie odczyt mój wywołał zdenerwowanie Hubatscha, który go pokazał „mocodawcom”, ale nie miałem powodu by coś zmieniać. Odczyt odbył się na uniwersytecie. Było ok. 200 osób. Przewodniczył 78-letni dr Schneider, który specjalnie przyjechał do Bonn. Był to ekonomista, ale miał też wykształcenie historyczne. Studiował historię w Berlinie u profesora Schiemanna, Niemca bałtyckiego i powiernika Wilhelma II. W dyskusji po odczycie przewodniczący wrócił do stereotypu ucisku polskiego po 1466 r. i zawodu, jaki sprawiły rządy polskie stanom pruskim. Sprostowałem to na podstawie *Akt*. Odczyt mój wbrew zwyczajom nie został wydrukowany. Po odczycie jakaś Polka dziękowała mi, mówiąc o bucie gospodarzy. Nieznany wysoki i elegancki pan, trzymający się osobno, przedstawił mi się jako profesor Richthofen. Ten archeolog i rasista mówił mi czule słówka, które obiecałem powtórzyć w Polsce po powrocie. Czy miałem wierzyć? Po odczycie poszliśmy na piwo. Okazało się, że dr Schneider był przez 20 lat urzędnikiem ministerstwa spraw zagranicznych Rzeszy i został usunięty przez hitlerowców. Potem żył z przygotowywania przekładów polskich prac naukowych, które potajemnie wydawano na powielaczu w osławionej Dienststelle dra J. Papritza, gdzie pokątnie tłumaczono też moje prace.

Zrobiło mi się nieswojo. Przypomniał mi się dr Ernst Turowski z dwoma żandarmami, który mnie chciał aresztować we wrześniu 1939 r. i szukał mojej recenzji, którą przetłumaczono z opuszczeniami. „Byłem w domu” — to była stara ekipa nacjonalistyczna, która teraz organizowała próby rozmów z Polakami. Hubatsch wyraźnie chciał, by go zaproszono do Polski, ale strona polska nie chciała.

Z Bonn pojechałem do Göttingen i poszedłem do „Państwowej Składnicy Archiwalnej”, bo tak się nazywało dawne archiwum królewskie. Odbylem przyjazną rozmowę z dyrektorem Kurtem Forstreuterem i poszedłem na salę czekając na akta, gdy wezwanō mnie do telefonu. Zapraszał mnie do siebie na śniadanie (i zaznaczał: „o ile Pan będzie mógł”) profesor Ernst Percy Schramm, którego poznałem w 1933 r. Zaproszenie przyjąłem. Schramm powiedział mi, że kiedy byłem w niewoli w Brunszweigu, uczeń jego Mediger był tam tłumaczem i zawiadomił go o mojej osobie. Schramm chciał wtedy posyłać paczki z książkami i materiałami piśmiennymi, ale komenda obozu odmówiła, za co on przeprasza. Byłem tym głęboko wzruszony. Paczek z żywnością, jak mówił, też nie mógł wysyłać. W atmosferze nienawiści, jaka panowała w Niemczech w 1939/40 r., gdy nam jeńcom z tłumu gapiów złorzeczono i wyrażano, było to coś niezwykłego. Nawiązały się przyjazne stosunki. Schramm przysyłał mi książki i swe przemówienia, które wygłaszał jako kanclerz kapituły orderu „Pour le Mérite” klasy cywilnej. Wygłaszał je przy nadawaniu tego orderu, ale nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi.

Próbowałem potem pracować w bibliotece i archiwum, ale wrażeń i przeżyć było zbyt wiele. Zresztą przeszkadzano mi rozmowami, których nie mogłem uniknąć. Wracalem ze świadomością, że dostęp do archiwum królewskiego jest otwarty.

W rok później — w 1959 r. — wziąłem udział w delegacji kulturalnej do Danii na życzenie strony duńskiej. Brałem udział w przyjmowaniu takiej delegacji duńskiej w Toruniu i starałem się, zastępując nieobecnego rektora, przekonać Duńczyków, że nasz uniwersytet z racji swego położenia jest powołany do utrzymywania stosunków ze Skandynawią, a badania porównawcze dziejów i kultury Polski i Danii mogą być szczególnie owocne. Widocznie moje argumenty musiały trafić do przekonania, bo mnie zaproszono do Danii. Nawiązałem trwale stosunki z historykami, z których jeden — Skyum-Nielsen został moim przyjacielem i przyjacielem Polski. Badania porównawcze dziejów Polski i Danii okazały się owocne. Otrzymałem sporo książek, poduczyłem się po duńsku, poznałem kraj, zobaczyłem, że nauka duńska stoi bardzo wysoko i otwiera szerokie horyzonty badań. Bezpośrednią korzyścią było nawiązanie stosunków z wybitnym paleografem-profesorem Erikiem Kromanem, autorem podręcznika pisma nogotyckiego, który przestudiowałem. Moi uczniowie stosunki z Danią pogłębili i rozbudowali, rozszerzając je na całą Skandynawię.

Po powrocie do Torunia objąłem kierownictwo Instytutu Historycznego

Uniwersytetu i sprawowałem tę funkcję przez cztery lata. Funkcje administracyjne były dla mnie bardzo męczące i nieciekawe i nie zabiegałem o nie. Nie zostałem też nigdy dziekanem. Pocięszam się tym, że tak znakomity uczony i myśliciel jak profesor Czesław Znamierowski nigdy żadnych funkcji na uniwersytecie nie piastował. Członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności zostałem w 1950 r. I na tym koniec.

W r. 1959 uniwersytet wysunął mnie jako kandydata do stypendium Fundacji Forda (na trzy miesiące). Marzyło mi się zapoznanie z dorobkiem mediewistyki i historii gospodarczej ostatnich 20 lat, których nie znałem. Stypendium uzyskałem, wziąłem urlop roczny, ale nie wyjechałem. Wytworzyła się sytuacja, w której siłą rzeczy pełniłem funkcje administracyjne w Instytucie i w ten sposób wykorzystywałem czas wolny od zajęć dydaktycznych. Postanowiłem wtedy użyć czas urlopu naukowego w bardziej twórczy sposób.

#### ZARYS DZIEJÓW ŻYCIA WEWNĘTRZNEGO I ROZMYŚLANIA DOMINIKAŃSKIE

Ambroise Jobert przyjechał do Polski w 1958 roku na VII Zjazd Historyków Polskich w Krakowie, gdzie go spotkałem. Zachęcał mnie, bym napisał coś większego o historii mistyki w Polsce. W czasie zjazdu poszedłem do biblioteki S. Karmelitanek przy ul. Kopernika, gdzie w zakrystii podawano mi w szufladzie rękopisy. Ówczesny konwent okazywał wiele zrozumienia dla moich poszukiwań i wielokrotnie pomoc. Rękopisów było ponad 300. Przeglądałem je kolejno i notowałem uwagi. Z całej tej pracy pozostał mi bezwartościowy ten spis, Rękopisy zostały ponownie skatalogowane według zasad bibliotekarstwa naukowego, otrzymały nowe tytuły, a gdy po 20 latach przyjechałem na poszukiwania, nie mogłem nic znaleźć, bo stary katalog zotał wyrzucony. Ale wtedy w r. 1958 bibliotekarka zapytała mnie, czy chcę zobaczyć najcenniejszy ich rękopis? Oczywiście na to przystałem. Dano mi do rąk przez pośrednictwo szuflady *Rozmyślenia dominikańskie z 1532 r.* Od razu zorientowałem się, że drugiego takiego rękopisu polskie średniowiecze nie wydało. Otrzymałem zgodę na wydanie, opublikowanie i wypożyczono mi go do domu na dłuższy czas. Pracę mogłem zorganizować w domu, gdyż przepisywania podjął się mój syn Waclaw, historyk, który porzucił ten fach, by zostać tofografem i zdobył sobie reputację na tym polu. Pracował nad przepisywaniem *Rozmyślań* powoli i sumiennie, sporządził mikrofilm i zdjęcia próbne miniatur. *Rozmyślań dominikańskich* nie mogłem trzymać w nieskończoność. Podjąłem rozmowy o wydanie go z Instytutem Badań Literackich.

Tymczasem pozostawał niewykorzystany urlop naukowy. Nie bez wahań podjąłem decyzję, by napisać książkę *Od religijności do mistyki. Zarys dziejów życia wewnętrznego w Polsce 966—1795*. Miała to być część I bo wieki XIX i XX były obszarem prawie nieznanym — więc odłożyłem pracę nad

nimi. Do części I miałem szkice, jeden z nich napisany w poczekalni kolejowej w Kłodzku, w powrocie z Polanicy. Teraz to wszystko opracowałem w postaci książki, która ukazała się w wydawnictwach KUL, w jesieni 1962 r. Perypetie moich poszukiwań i badań zawarłem w rozprawce *Moja droga do życia wewnętrznego*<sup>12</sup>. Książka ukończona została w niespełna trzy lat wliczając w to korekty. Ale przygotowania i poszukiwania zajęły lat blisko 30 i bez pomocy Ambroise Joberta nie dałyby tak pełnego efektu. Druk bardzo sprawnie „prowadził” późniejszy profesor i rektor Józef Szymański jako kierownik wydawnictw KUL.

Pisałem już wyżej o genezie moich zainteresowań historią mistyki. Później nazwałem ją historią życia wewnętrznego, dając pojęcie bardziej dostosowane do rozbieżności panujących wśród teologów i do praktyki języka polskiego. Zacząłem szukać źródeł już w 1933 r. Od razu natrafiłem na ślad autobiografii mistycznej polskiej spisanej w XVII w. przez karmelitankę Teresę Marchocką. Były na ten temat tylko popularne książeczki. Też jesieni dostałem do rąk rękopis ofiarowany Książnicy Miejskiej w Toruniu przez Polaków z Ameryki. Były to bardzo piękne rozmyślenia z przelomu XVI i XVII w. Rękopis został wywieziony do Ameryki przez nieznanego z nazwiska księdza z Pomorza, po którego śmierci przeszedł w ręce Polaków, którzy odwieźli go do kraju. Rękopis ten pochodził z całą pewnością z klasztoru w Chełmnie. Rękopis tego po wojnie już nie znalazłem, ani nawet jego sygnatury, ani zapisek dyr. Mocarskiego. Zacząłem pracę edytorską na marginesie innych zajęć. Miałem poparcie i korzystałem ze wskazówek dwóch wybitnych teologów, profesorów seminarium w Poznaniu, ks. Aleksandra Żychlińskiego i ks. Kazimierza Józefa Kowalskiego. Otrzymałem też listy polecające od Prymasa. Pomagał mi też dyrektor archiwum archidiecezjalnego ks. Józef Nowacki, a wskazówek językoznawczych i edytorskich udzielił profesor E. Klich. Ale wydawcy pozostawali chłodni. Księgarnia św. Wojciecha nie przyjęła pracy do druku. Chciałem zapoczątkować ambitną serię „Pisarze ascetyczno-mistyczni Polski”. Znaczenie tych badań zrozumiał ofiarny księgarz poznański, Jan Jachowski. Wydawał on serię pism Ojców Kościoła po polsku, których nie czytano i teraz zaczął wydawać własnym suptem moich „Pisarzy”. O honorarium nie upominałem się. Tak ukazał się tom I: *Pisma benedyktynek reformy chełmińskiej* w Poznaniu w r. 1937 i przeszedł bez echa.

Tom II (autobiografia mistyczna Teresy Marchockiej, 1603—1652) napotykał przeszkody. Węszono wszędzie błąd w wierze lub moralności, panował szczególnie lęk przed słowem „mistyka”. Bronił mnie ks. Żychliński i dzięki niemu trzymam się doktryny dominikańsko-karmelitańskiej, a nie innej. Na razie przeorysza karmelitanek pozwoliła przepisać tekst, co uczyniła z wielkim trudem

---

<sup>12</sup> K. Górski: *Moja droga do historii życia wewnętrznego*. W: *W kierunku chrześcijańskiej kultury*. Warszawa 1978 s. 642—648. Przedstawiłem tu dzieje moich badań nad historią życia wewnętrznego. *Pisarze ascetyczno-mistyczni Polski*. T. I. Poznań 1937 t. 2. Poznań 1939.



jedna z sióstr. Potem nastąpiła złowroga cisza. Okazało się, że przeorysza umarła i na łożu śmierci nie pozwoliła na druk autobiografii, gdyż nie pomnożyła to chwały Bożej. Czyjeś rady wzbudziły w niej skrupuły — mówiono mi nawet nazwisko. Byłem zrozpaczony i zwróciłem się do moich duchownych obrońców i doradców. Chciałem się udać do metropolity krakowskiego, ale mi odradzono, bo klasztor jest egzymowany spod władzy miejscowego ordynariusza i nawet prymasa. Więc co robić? Poradzono mi udać się do O. Anzelma, karmelity bosego, któremu papież zlecił wizytację wszystkich seminariów duchownych w Polsce. Akurat był w Poznaniu. W oznaczonym dniu znalazłem się w seminarium duchownym na Ostrowie Tumskim w towarzystwie ks. Aleksandra Żychlińskiego i ks. Kazimierza Józefa Kowalskiego. Nie powiem, że bym się czuł pewnie: wszystko wisiało na włosku. A była to przecie pierwsza polska autobiografia mistyczna, jedyna na przestrzeni od XVI do XVIII w. Wyrosła ona z ducha św. Teresy z Avili. Wszedł karmelita średniego wzrostu, o cerze śniadej z rumieńcami ceglastymi, o ciemnych włosach i rysach raczej pospolitych. Ale oczy? Kiedy spojrzałem w nie, zrozumiałem, że przenika mnie do głębi. Żadne kręta (tych nie uprawiam), żadne argumenty nie pomogą: on widział. Przedstawiłem prosto, o co chodzi, zadał mi parę pytań, obiecał dać odpowiedź. Po paru tygodniach otrzymałem odpowiedź karmelitanek. Zawsze O. Anzelma wspominam jako szczególnego dobroczyńcę.

Teraz trzeba było odpis skolonować. Nie mogłem siedzieć tygodniami i miesiącami w Krakowie. O pożyczonym archetypie nie było mowy, pozostawało sporządzenie mikrofilmu. Pisałem o tym, jak sprawa ta wyglądała w Krakowie: „U nas tego nie ma”. Udałem się do znanego artysty fotografa — P. Kolowcy. Wysłuchał mnie i postanowił spróbować, bo nie robił tego nigdy. Można było robić zdjęcia w rozmównicy, ale bałem się, że zgaśnie światło w całym klasztorze, a ja za to będę odpowiadał. Wyszliśmy na podwórko, przy nas stał młody ksiądz, który nic nie mówił i pilnował. Na pytania nie odpowiadał. Okazało się to ksiądz z Ameryki, który się dopiero po polsku uczy. Zrobiliśmy zdjęcia. Na drugi dzień okazało się, że na niebie wędrowały chmurki, a jak któraś przesłoniła słońce, zdjęcie było nieczytelne. P. Kolowca postanowił jeszcze raz spróbować. Tym razem chmurek nie było i zdjęcia wyszły dobrze. P. Kolowca odmówił przyjęcia zapłaty.

Potem miesiącami kolonowałem odpis z mikrofilmem z pomocą dr A. Siuchnińskiego z Archiwum Państwowego w Poznaniu. Potem przyszedł druk książki w drukarni J. Kawalera w Szamotułach i korekty, przerwane zapaleniem spojówek. Wiosną 1939 r. tom się ukazał. W głupocie mojej nie rozesłałem egzemplarzy recenzyjnych licząc, że to zrobię w jesieni. Egzemplarze obowiązkowe nie dotarły do bibliotek, składano je bowiem na policji. Hitlerowcy posłali nakład na przemiał. Ocalało trochę egzemplarzy w księgarniach w Warszawie i Kielcach, a po wojnie Jan Jachowski odnalazł 10 egz. w składnicy w Poznaniu i sprzedawał te białe kruki z XX wieku.

Przygotowywałem tom III „Pisarzy” — dziennik życia wewnętrznego Bo-

gdana Jańskiego. Był przepisany — odpis uległ zniszczeniu. W czasie wojny Zmartwychwstańcy przepisali go na nowo — publikowałem kilka fragmentów.

Poszły z dymem rękopisy z Biblioteki Narodowej, z której robiłem notaty. Wygłosiłem przed wojną odczyt o moich badaniach. Podobał się i przeszedł bez echa. Może byłoby lepiej, gdyby wywołał sprzeciw.

Podczas wojny — w obozie jeńców — naszkicowałem plan seminarium, a właściwie książki. Po powrocie do Poznania w 1945 r. zacząłem pracę od nowa — contra spem. Jan Jachowski przez kilka lat prowadził księgarnię, ale o wznowieniu serii nie było mowy. Jednak postanowiłem szukać i ratować to, co ocalało ze zniszczeń. Zmienił się klimat nieufności, jaki wyczuwałem przed wojną. Muszę powiedzieć, że księży chętniej dają rękopisy i starodruki amatorom niż fachowcom, a nawet pożyczają je do domu na słowo. Panuje opinia, że uczeni kradną książki, dlatego zwykle składam oświadczenie, że mimo wszystko jestem uczciwy, a choć profesor, książek nie kradnę. Przykładem nefachowego szperacza, który niejedno znalazł, zagarnął i stracił, był J. St. Pietrzak. Poznałem go w czasie studiów w Krakowie, gdzie szukał pomocników do badania historii świętości w Polsce, a może i prozelitów do zgromadzenia zakonnego, które zakładał. Spotkałem go w Toruniu po wojnie. Zbiory, które złożył w 1939 r. w firmie spedycyjnej żydowskiej, zostały zdewastowane, przypadkiem coś ocalało. Pomogłem mu to odzyskać i część przywiozłem, za co pozwolił mi skorzystać z nich. Ale współpraca nasza nie układała się dobrze i nie mogła ułożyć; jestem badaczem, który wydaje źródła i opracowuje je, on zaś pisał popularne broszurki i pieśni nabożne. Nie jestem pewien, czy nie amplifikował zbyt szczupłych tekstów źródłowych. Opublikowałem *Zapiski budziławskie*, które uważał na skarb, a był to żywot z XVIII w. z późniejszymi amplifikacjami.

W miarę możności jeździłem do bibliotek i archiwów kościelnych, tłukąc się pociągami i rzadko wówczas kursującymi autobusami. Nigdy żadnej pomocy finansowej od nikogo nie miałem. Piszę to, bo ludzie przyzwyczaili się pracować tylko za pieniądze lub dla zaszczytów, a to pomniejsza moralną wartość wysiłku. Byłem w Sandomierzu (2 razy), Kielcach, Starym Sączu, Trzebnicy, Poznaniu i Gnieźnie, odnalazłem szczęśliwie w Żarnowcu uratowane zbiory benedyktynek wileńskich, w Krzeszowie, Krakowie, Lublinie, Wrocławiu i w Warszawie. Nie dotarłem do Szczyrzyca i Lubinia, ale tam za mnie szukali inni. Udało się znaleźć dużo: zaginione rękopisy Kaspra Drużbickiego, żywoty karmelitów i karmelitanek bosych; pisma cysterskie z XVII i XVIII w., pisma duchaczki lwowskiej Tekli Raczyńskiej, ze średniowiecza *Rozmyślania dominikańskie*, traktat Jakuba z Paradyża o teologii mistycznej. Przełożyłem na polski traktat z XIII w. *O miłowaniu Boga*, który napisał biskup chełmiński, a poprzednio prowincjał dominikanów w Polsce, Henryk-Heidenreich. Te poszukiwania były pasjonujące. Było mi dane przeżyć to, co przeżywali wielcy wydawcy źródeł w XVIII i XIX w. Ale wieleż przepadło, m.in. rękopis, który był w posiadaniu ks. Żychlińskiego (z XIX w.). Widząc te

klęski, starałem się drukować choćby fragmenty. Publikowali je ks. A. Schletz w „Naszej Przeszłości” i ks. Librowski w „Archiwach, Bibliotekach i Muzeach Kościelnych”. Ale do końca poszukiwań było ciągle bardzo daleko.

Przystępując w 1960 do pisania książki o historii życia wewnętrznego, musiałem rozstrzygnąć i ustalić założenia metodologiczne. Czym jest historia życia wewnętrznego? Zdefiniowałem ją jako stosunek człowieka do Boga, którego przykładem może być autobiografia J. Wł. Dawida oraz dzieje tego stosunku, osobistego, opartego na miłości tam, gdzie osiąga on klarowną pełnię. W języku polskim coraz częściej używa się terminu „duchowość” i mnie go narzucono. Opierałem się, bo w języku niemieckim „Geist, geistliches Leben” oznacza wyższe dziedziny życia duszy, ale przyrodzone. Niemcy i Anglicy nazywają przeżycie stosunku człowieka do Boga „mystyką”, zaś Francuzi „spiritualité”. Ostatnio Niemcy zaczynają używać terminu „Spiritualität” co dokładnie oddaje sens rzeczy. Różne szkoły teologiczne używają u katolików różnorodnej terminologii. Dominikanie i karmelici stosują termin „mystyka” do przeżyć związanych z sakramentalnym życiem kościoła, podczas gdy jezuita zacieśniają je do zjawisk nadzwyczajnych, niezwykłych. Mimo, że stanowisko dominikanów i karmelitów wydaje się słuszne, przyjąłem terminologię jezuita jako obejmującą całą dziedzinę badań. Termin „mystyka” stosowałem tam, gdzie oba główne kierunki są ze sobą zgodne, a termin „mystycyzm” zachwalałem dla form heterodoksyjnych chrześcijańskich i niechrześcijańskich.

Nie jest zadaniem historyka badać istotę zjawisk mistycznych i orzekać do jakiej kategorii je zaliczyć. Jako historyk chcę trzymać się metody historycznej. Recenzent mój— ks. prof. Obertyński — podsuwał m myśl, bym przyjął za podstawę doktrynę teologiczną Scaramellego i pod tym kątem analizował materiał, ale sam odrzucił tę sugestię zaznaczając, że obrałem założenia czysto historyczne<sup>13</sup>. Jezuita Scaramelli, uważany za życia (w XVIII w.) za autora niepewnego, w następnym stuleciu cieszył się autorytetem największym, a znów w XX w. stał się synonimem zacieśnienia życia wewnętrznego do samej tylko ascezy i jego autorytet jest odrzucany przez dominikanów i karmelitów. Sporu tego nie rozstrzygam. W każdym razie trzymam się stanowiska, że badanie samej ascezy, a tym samym sprowadzanie do niej życia wewnętrznego, oddala od pełnego zrozumienia przeżycia miłości Boga. Tylko przyjęcie faktu tej miłości i przeżyć z nią związanych może u normalnych jednostek uzasadnić ostrość ascezy, która jest jakąś próbą odpłacenia za bogactwo tych przeżyć.

Historia życia wewnętrznego opiera się na tekstach modlitw, wyznań, pamiętników, ale także na tekstach liturgicznych. Teksty liturgiczne, nieraz przepiękne, są wyrazem takich właśnie przeżyć miłości Boga, które zostały skodyfikowane i uznane przez kościół oraz dawane wiernym jako wzór. Nie sądzę, aby kiedykolwiek historia życia wewnętrznego i liturgii mogły złąć

<sup>13</sup> Z. Obertyński, „Studia Theologica Varsoviensia” 1965 z. 2, s. 573—582.

się w jedno. Co prawda benedyktyni ujmują całość przeżycia miłości Boga we wszystkich jej postaciach w formach liturgicznych, ale wielu chrześcijan szuka dróg przeżycia indywidualnego, osobistego, a nie wszystkie szkoły zakonne są zgodne z benedyktynami.

Religijność ludowa może być ujmowana od strony socjologicznej oraz przez badania etnologiczne. Można je wiązać z dziejami duszpasterstwa i odkrywać nieoczekiwane przebliski tłumaczące psychikę ludzką. Nie mniej istnieje tylko pobożność ludowa, a nie ma „duchowości” ludowej („spiritualité”) ani „ludowego życia wewnętrznego”. Życie wewnętrzne obejmuje wyższe formy przeżyć, wspólne wszystkim tym, którzy pogłębili swój stosunek do Boga.

Dużo wątpliwości obudziły terminy „modlitwa metodyczna”, „zmetodyzowana”. Powstała ona zgodnie z wynikami badań na Zachodzie na przełomie XV i XVI w., zastępując dawne luźne rozmyślenia przy modlitwie ustnej, a przez w. XIX uznana została za najdoskonalszą technikę dojścia do Boga. Reakcja przeciw temu zacieśnieniu zrodziła się w początkach XX w. Po latach dyskusji stanowiska jezuitów z jednej strony, a dominikanów i karmelitów z drugiej zbliżyły się na tyle do siebie, że zachodzą tylko różnice terminologii lub odcienia jej.

Wyróżniłem trzy pojęcia metodyczne: (1) szkoła mistyczna (życie wewnętrzne); (2) kierunek życia wewnętrznego; (3) pokolenie.

W założeniu swym pojęcie szkoły obejmuje nauczyciela (mistrza), zespół zasad i podręczniki. Tak jest w zakonach i gdzie wychowanie nowych adeptów opiera się na skrytyzowanych zasadach (regule) i opracowane jest w podręcznikach. Różnice między szkołami opierają się na strukturze psychofizycznej człowieka, która nie jest zdolna dostosować się w całej pełni do wzoru, jakim jest Chrystus dla chrześcijan. Są natury skłonne do optymizmu życiowego i do pesymizmu, są natury o silnej emocjonalności i inne o przewadze woli lub refleksji. Wymaga to przystosowania zasad wychowania do konkretnej natury tego, który dąży do doskonałości. Ludzie XIX w. wierzyli, że z czasem powstanie tylko jeden zakon. Patrzyli oni na życie wewnętrzne od strony wyłącznie ascezy, a nie widzieli różnic psychologicznych, o które wymarzona jedność się rozбивa.

Kierunek życia wewnętrznego jest mniej zwarty od szkoły i nie posiada skodyfikowanych reguł. Tworzą kierunki wybitne jednostki, które jednak nie umieją wykształcić uczniów i po ich śmierci kierunek upada, albo zamienia się w szkołę, która ma regułę i podręcznik.

Pojęcie pokolenia jest dobrze znane badaczom historii literatury, ale nie jest ono dokładnie opracowane. Pokolenie to grupy rówieśników, którzy mają wspólne przeżycia, wspólne cele i zadania, przywódców i wzor do naśladowania, ale rytm pokoleń nie jest jednaki dla wszystkich społeczności i okresów. Są pokolenia długie i krótkie, są nagłe wybuchy nowej emocjonalności, które wiodą do zmiany klimatu kulturowego, do odnowy, secesji i powsta-

wania nowych kierunków i szkół. Założenia te stosowałem w innych pracach z zakresu historii życia wewnętrznego.

Książka: *Od religijności do mistyki* ukazała się w blisko 30 lat od chwili, gdy skryształizowały się jej założenia. Przyjęcie jej było różne. Wytykano błędy nawet na seminariach uniwersyteckich na KUL; mówiono, że trzeba było przerobić wszystkie źródła, a nie czynić tylko sondaż, przekopać się przez wszystkie biblioteki i archiwa. Miałem na to gotową odpowiedź. Na to, by tę książkę dobrze napisać, trzeba by 315 do 335 lat badań, albo mieć pomocników. A co do przerobienia np. wizytacji, to dają one obraz wypaczony, bo wymieniają błędy. Tak ks. Jan Fijałek zaczął pisać o moralności duchowieństwa i nie dokończył. Najtrafniej ocenił moją książkę ks. Profesor Obertyński, który wytknął mi szereg błędów i napisał na końcu: „Lecz pamiętać też trzeba, że żaden z krytyków, ani w ogóle nikt inny, nie napisali ani nie wydali, ani zapewne rychło nie wydadzą czegoś lepszego”<sup>14</sup>.

Inni krytycy usiłowali mnie „osiadłać” i sprowadzić na swoje podwórko, nawet próbowali ironii i ośmieszenia. Byli tacy, którzy nie rozumieli mnie i uważali, że nie ma odrębnych szkół duchowości, gdyż asceza jest zawsze taka sama. Nie zdawali oni sobie sprawy, że istotne różnice między szkołami życia wewnętrznego występują w modlitwie, a różnice w praktykowaniu modlitwy są tu istotne.

W sumie książka, jak się zdaje spełniła choć w części swe zadanie. Naukowcy niewierzący przyjęli ją życzliwie, z uznaniem podkreślając jej bezstronność. O ile przedtem spotykałem się z ironią i zdumieniem, gdy mówiłem, że zajmują się historią mistyki, teraz to ustało. Nie potrzebowałem wyjaśniać, że historyk może w sposób naukowy badać każdą dziedzinę. Na niektórych seminariach historii kościoła książka moja stała się lekturą obowiązkową. Podzieliła w ten sposób los wszystkich lektur: dają one informacje i sprzyjają ich zapominaniu. Książka moja zdołała się też ostać, jak się zdaje, wobec zapału socjologów religi, mimo że nie operuje tablicami i mapkami, lecz analizą tekstów. Natomiast nie zdołała, jak się zdaje, przełamać nieufności niektórych teologów do wszystkiego tego, co nie jest ascezą ani modlitwą zmetodyzowaną.

Zagadnienie historii życia wewnętrznego było odtąd stale obecne w mojej świadomości. Postępował druk *Rozmyślań dominikańskich*.

#### KOMPARATYSTYKA. ROZMYŚLANIA DOMINIKAŃSKIE. NEOGRAFIA GOTYCKA

Zdawało mi się, że znowu znalazłem się gdzieś poza możliwością swobodnego rozwinięcia skrzydeł i widziałem, że wysiłki się rozdrabniają. Ale rozwijające się stosunki nauki polskiej z europejską pozwalały mi poznawać nową literaturę.

<sup>14</sup> Tamże, s. 573—582.

W r. 1965 ukazały się *Rozmyślania dominikańskie* w transliteracji. Uważałem je za wyjątkowo ważne odkrycie. Jarosław Iwaszkiewicz pisał o tej książce: „Odnaleziono wielkie dzieło kultury polskiej”, ale część druga — transkrypcja wraz ze słownikiem nie została dotąd wydana. Nie chcę się tym zajmować ani śledzić dróg, którymi te bezcenne egzemplarze wędrowały na przemiał.

W r. 1960 wyszedł mój skrypt *Neografia gotycka*, który znalazł życzliwe zainteresowanie w Związku Radzieckim i w Czechach. Oprócz historii poszczególnych liter zastosowałem analizę duktu i złożenia ręki, idąc za przykładem Erika Kromana. Praca ta — wydana na małej poligrafii i wznowiona w 1973 — ukazała się potem w druku w 1978 r. W 1961 r. ustąpiłem z kierownictwa Instytutu Historycznego UMK i oddałem wydawnictwo *Aktów Stanów Prus Królewskich* w ręce Mariana Biskupa. Zacząłem odczuwać ciężar 60 lat. Nie mogłem wytrzymać tempa, które mi narzucano. Nie zachowałem sobie miejsca na karcie tytułowej od tomu V. Uważałem, że tak będzie lepiej. Badania nad Zakonem uzyskały nowe podniety przez prace Manfreda Hellmanna i Marzeny Pollakówny, które kładły nacisk na społeczne zróżnicowanie wśród członków Zakonu. Był to więc socjologizujący punkt widzenia. W tym samym kierunku zostałem popchnięty przez inicjatywę Ministerstwa. Ministerstwo przeprowadziło analizę planów i prac katedr historii powszechnej i okazało się, że przeważnie zajmują się one historią Polski. Zwołano konferencję do Warszawy i sprawę postawiono dość ostro (1961). Mnie zaproponowano opracowanie zagadnienia. Przyjąłem tę propozycję niechętnie, ale się wnet do niej zapaliłem. Rozróżniłem 3 sposoby uprawiania historii powszechnej. Są to: (1) historia obca, kiedy się pisze rozprawę np. z dziejów Francji. Do tego potrzebny jest paroletni pobyt zagranicą — może nawet kilka lat; (2) historia porównawcza, którą uprawiać można posiadając literaturę bez długotrwałych wyjazdów; (3) semazjologia czyli analiza semantyczna pojęć i nazw, używanych w przeszłości; ta dziedzina jest ważna, ale bardzo pracochłonna. Stało się dla mnie jasne, że tylko druga dziedzina jest dla mnie dostępna. Przy badaniach tą metodą stosuje się porównanie, przy czym ważne jest rozróżnienie analogii przypadkowej i paralelizmu rozwoju. Badania metodą porównawczą można uprawiać dla dziejów krajów należących do tego samego kręgu kultury i w ramach tej samej formacji społeczno-gospodarczej, inaczej pojawiać się będą analogie przypadkowe, bez znaczenia dla zrozumienia procesów dziejowych. Poglądy moje znalazły uznanie, ale nie zdobyłem się na szersze uzasadnienie<sup>15</sup>. Zresztą nadarzyła się sposobność praktycznego wypróbowania tych założeń teoretycznych. Profesor Władysław Czapliński zamierzał zwrócić się do mnie z propozycją, byśmy wspólnie opracowali dzieje Danii. Uprzedziłem go listem

<sup>15</sup> K. Górski: *Historia powszechna na uniwersytetach polskich*. „Kwartalnik Historyczny” 1962 z. 3 s. 777—780.

wysuwając tę samą myśl. Czapliński przekonał wydawnictwo Ossolineum do podjęcia planu wydania całej serii historii poszczególnych krajów, z których nasza miała być pierwsza. Porównanie feudalnej Danii i feudalnej Polski było ze wszech miar uzasadnione. Oba kraje sąsiadowały z potężną Rzeszą niemiecką, stanowiącą trzon cesarstwa rzymskiego od czasów Ottonów. Oba kraje były przez tę potęgę zagrożone i oba równocześnie niemal przyjęły bez przymusu chrześcijaństwo, wchodząc do kręgu zachodniej kultury. Z punktem wyjścia w podobnych systemach społeczno-gospodarczych odbywały one przez stulecia równoległą drogę do utworzenia i obrony własnej państwowości na pograniczu zaborczego sąsiada — Rzeszy. Ale do napisania tej pasjonującej historii porównawczej potrzeba było co najmniej paru tygodni pobytu w Danii. Wystarałem się o zaproszenie i wyjechać nie mogłem. Najpierw chorowałem, potem wydałem pieniądze na przenosiny do nowego mniejszego mieszkania. Pomijam inne przeszkody — zostałem na lodzie. Wtedy udało mi się uzyskać zaproszenie na zjazd hanzeatycki do Lipska. W drodze mogłem sprostować złośliwe pomówienia, wychodzące z Torunia, a po skończeniu obrad pracowałem w bibliotekach. Znalazłem, o dziwo, cały komplet starszych prac o ustroju Danii po niemiecku i po duńsku, o które mi chodziło. Przed 1914 r. byli tu historycy państwa i prawa, zajmujący się Danią i dla nich sprowadzano książki, z których i ja skorzystałem. W r. 1965 byłem jeszcze w Magdeburgu na zjeździe hanzeatyckim, a potem w Gryfii i Stralsundzie, ale pracowałem nad porównawczą historią reprezentacji stanowej. Książkę, a właściwie moją część wspólnego dzieła, napisałem nie bez trudu, nie najlepiej, bo bez części najnowszej literatury archeologicznej, ale zarzuty mnie nie spotkały. Redaktorem całości był Czapliński, który obcinał limit dla średniowiecza. Książka ukazała się w jesieni 1965 r. i zaraz otrzymałem naglące zaproszenia do Kopenhagi, bym przyjechał z referatem. Znow zaczęły się trudności. Wtedy czynniki MSZ przeprowadziły weryfikację pokątnych zarzutów i paszport otrzymałem.

#### ŚMIERĆ MOJEJ ŻONY

Wyjazd ten był ciężki i skróciłem go, jak tylko mogłem — do 10 dni — ze względu na ciężką chorobę żony. Rozpoznano ją jako reumatyczną, a był to złośliwy nowotwór. Nie wiedzieliśmy o tym, dopiero po powrocie konsylium mi to powiedziało. Choroba miała zabrać moją żonę 1 kwietnia 1966 r. — w pięć i pół miesiąca po wystąpieniu symptomów. Organizm był wyczerpany przez lata okupacji, a potem przez niełatwe warunki życia czteroosobowej rodziny z jednej pensji. Żona moja znosiła trudy i cierpienia oraz brak pomocy z poddaniem i cierpliwością. Żartowała z bólem, że rywalką jej jest nauka. Ale znosiła to, będąc dla mnie ostoją i doradcą w trudnych dniach i latach życia. Ostatnią jej ofiarą był mój wyjazd do Danii, który dla mnie stanowił przypiecztowanie tyłu lat wysiłków.

## APOGEUM?

Po śmierci żony długo nie mogłem wrócić do sił i do pracy. Wreszcie otepienie umysłu, porażonego tym powolnym umieraniem osoby najbliższej, ustąpiło. W jesieni 1966 pojechałem na zjazd Międzynarodowej Komisji do dziejów Zgromadzeń Stanowych w Rostocku, gdzie poznałem ludzi, których prace czytałem oraz miałem referat. Okazało się, że stoję na tym samym szczeblu co oni i że słuchają mnie z uwagą. Okazało się, że na etapie rozwoju naukowego, na jakim byłem, ważniejsze były rozmowy i konfrontacje niż czytanie starej literatury. W początkach 1967 r. otrzymałem zaproszenie British Council do Anglii. Zapraszał profesor Francis Carsten ze School of Slavonic and East European Studies uniwersytetu w Londynie, którego poznałem w Toruniu. W Anglii miałem odczyty na kilku uniwersytetach i zwiedziłem kraj pobieżnie. W Leicester zobaczyłem po raz pierwszy w życiu zwoje dokumentów gildii, które rządziły miastem. Dla historyka Europy pierwszorzędne znaczenie ma zwiedzenie miejsc historycznych, zabytków i zobaczenie krajobrazu. Jestem historykiem europejskim i nigdy mnie nie ciągnęło do zwiedzania Ameryki, Azji czy Afryki z wyjątkiem wybrzeży morza Śródziemnego. Z Anglii udałem się do Francji, dokąd miałem zaproszenie do wygłoszenia odczytów. Po przylocie do Paryża dwaj profesorowie Włosi, mieszkający w tym mieście, Ruggiero Romano i Alberto Tenenti zaprosili mnie na śniadanie. Obaj byli w Toruniu z odczytami. Profesor Ruggiero Romano zaproponował mi napisanie książki o Zakonie krzyżackim dla wydawnictwa Giulio Einaudi w Turynie. Jest to jedno z większych wydawnictw włoskich, kierowane przez syna b. prezydenta Włoch Ruggiero Romano był doradcą redakcji historii. Była to okazja niezwykła. Wiedziałem, jak polscy uczeni z trudem zabiegają o druk swoich prac na Zachodzie, jak się to udaje, gdy Ministerstwo pokrywa w dewizach lub przez druk w Polsce część kosztów. Tu propozycja wyszła od wydawcy zagranicznego i miałem otrzymać honorarium. Ustaliliśmy, że dostarczę tekst francuski, który będzie przełożony na włoski. Ustaliliśmy terminy i warunki przekładów na inne języki — polskie wydanie nie interesowało firmy Einaudi. Był to w sumie niezwykle sukces.

We Francji objechałem prowincje, gdzie najdłużej utrzymały się zgromadzenia stanowe. Nawiązałem stosunki z historykami tych zgromadzeń i z historykami duchowości czyli mistyki. Profesor Jobert kierował tu moimi krokami.

Po powrocie do kraju zabrałem się do pisania książki o Zakonie. Wydawnictwo nie chciało, by tekst był obciążony wielką ilością przypisów. Jako punkt wyjścia obrałem skład społeczny Zakonu i wpływ, jaki ten skład wywierał na klimat kulturowy panujący w Zakonie, m.in. na sztukę popieraną przez mnichów-rycerzy w ramach mecenatu. Pracę ukończyłem w 1968 r. Ujęcie okazało się trafne, książkę akceptowano.



## KOMPARATYSTYKA. KONGRES W MOSKWIE

Od 1965 r. coraz bardziej przesuwalem się ku historii społecznej, szczególnie ku historii zgromadzeń stanowych. Analizowałem pojęcie „świętego króla” we wczesnym średniowieczu w Europie Wschodniej i brak jego w Polsce. Rozprawka ta ukazała się też w „Annales” w Paryżu. Na marginesie prac nad historią duchowości powstawać zaczęły studia porównawcze środowisk zakonnych i klimatu ich życia. Zbudowałem teorię, że porównywać można 3 zjawiska: (1) system wartości, przyjęty w danym środowisku; (2) strukturę organizacyjną; (3) klimat kulturowy, pojęcia które utworzyłem.

Głównie jednak pracowałem nad strukturą i początkami reprezentacji stanowych, przeprowadzając dowód, że powstawały one w interesie grup średniozamożnych, które poprzez instytucje reprezentacyjne uzyskiwały wpływ na sprawy publiczne. Prace te leżały na pograniczu historii państwa i prawa oraz historii społeczno-gospodarczej. Bywałem też zapraszany na sesje poświęcone historii sejmu polskiego.

W r. 1970 miał się odbyć Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych w Moskwie, na którym miała być sekcja zgromadzeń stanowych. Zostałem wytypowany do delegacji polskiej. Wcześniej jednak z kolegami z Warszawy postanowiliśmy odbyć zjazd Komisji Międzynarodowej do dziejów Zgromadzeń Stanowych w Polsce. Komisja odbyłaby dwie sesje, w Warszawie i Moskwie. Udało się to przeprowadzić, sesja warszawska połączona była z wyjazdem do Krakowa. Sesja warszawska była udana. W Moskwie odnowiłem dawne znajomości z uczonymi radzieckimi, i nawiązałem nowe. Prócz posiedzeń komisji „stanowej” brałem udział w obradach komisji historii porównawczej kościołów, w której naukę polską reprezentował profesor Jerzy Kłoczowski. Sprawy krzyżackie pozostawały w cieniu. Z uczonych radzieckich zajmował się nimi prof. V. Paszuto. W sumie kongres był dla mnie pożyteczny i owocny. W latach następnych brałem udział w sesjach komisji „stanowej” na Węgrzech (1971) i we Fryburgu Badeńskim, gdzie mimo zarysowującego się odprężenia panowała atmosfera mroźna. W 1971 r. opublikowałem wspólnie z Januszem Małkiem zbiór tekstów do dziejów stanów Prus Królewskich i Książęcych w przekładzie polskim. Była to część I, część II może być opracowana dopiero obecnie, kiedy dr W. Szczuczko odnalazł w Gdańsku zaginione teksty naświetlające rolę opozycji szlachty przeciw oligarchii magnackiej w dobie walk o egzekucję. Wśród uczniów moich powstała myśl, by wydać zbiór moich studiów poświęconych zgromadzeniom stanowym w językach obcych. Uczniom moim chodziło m.in. o możliwość nabycia książki obcojęzycznej do wymiany z zagranicą. Książka ta ukazała się w 1976 r. jako jeden z tomów serii „Etudes” Międzynarodowej Komisji do dziejów Zgromadzeń Stanowych. Ale też to był koniec tych prac ze względu na ciężką operację, którą przeszedłem w 1975 r.

Z historią społeczną wiązał się mój wyjazd na sympozjum w Visby

na wyspie Gotland. Wyspa ta jest jakby rezerwatem krajobrazowym i kulturalnym średniowiecza. Zaprosił mnie z M. Biskupem czołowy mediewista szwedzki — profesor Eric Lönnroth — na zjazd historyków wszystkich krajów położonych nad Bałtykiem, po 2 z każdego kraju. Sympozjum poświęcone było kulturze (1971). Profesor Lönnroth zapytał mnie, jaki temat widziałbym na następną sesję. Podsunąłem dzieje mieszkania ludzkiego w płaszczyźnie porównawczej. Sympozjum odbyło się w r. 1974 i było połączone z objazdem zabytkowych domów sięgających XII i XIII w., zbudowanych z kamienia, oraz skansenów. Oglądaliśmy koniki hodowane na dziko w lesie a pochodzące od tarpana leśnego, porty rybackie a przede wszystkim domy chłopskie. Miałem referat wprowadzający, ale czułem się niedobrze i chyba nie dałem tego, co powinienem był i co mogłem dać. Historia mieszkania jest podstawową dla zrozumienia dziejów rodziny ludzkiej, ale zagadnienie to nie jest dostatecznie rozumiane na Zachodzie. Człowiek średniowieczny nie mógł założyć rodziny, jeśli był czeladnikiem lub dworzaninem — ktoś musiał mu dać mieszkanie. Jest to wielkiej wagi problemat dziejowy. Tak samo kobiety nie mogły wyjść za mąż bez posagu, a jeśli nie miały go z domu — ktoś musiał je wyposażyć.

#### ROCZNICA KOPERNIKAŃSKA

Już w r. 1965 zdawałem sobie sprawę, że muszę się przygotować do obchodów rocznicy, która przypadała w 1973 r., w 500 lat od urodzenia wielkiego astronoma. Myślałem już o tym przed wojną w związku 400-leciem śmierci (1943). Dyskutowałem wówczas z drem Magdańskim, kustoszem Archiwum Miejskiego w Toruniu, zamordowanym w czasie wojny przez Gestapo. Magdański żarliwie bronił polskości astronoma i był przeświadczony, że znajdą się materiały, które to potwierdzą. Ja nie byłem tak pewien, bo sądziłem, że poglądy wyrażone przez Carlton Hayesa w książce o nacjonalizmie<sup>16</sup> są bardziej słuszne dla XV i XVI w. Ale widziałem potrzebę przejrzienia wszystkich źródeł. Po wojnie jednym z motywów wydawania *Aktów Stanów* było przeprowadzenie korekty nacjonalistycznych poglądów. W Łukaszu Watzenrode widziano bojownika niemieckości Warmii, niezależności Warmii od Polski i nawet w ostatnich miesiącach życia — przeciwnika polityki królewskiej. Wyrwane z kontekstu zdania miały stanowić dowód. Otóż trzeba to było przebadać. W Bonn — wbrew obyczajom — nie opublikowano w r. 1958 mego odczytu, gdyż broniłem polskiego punktu widzenia w oparciu o akta, nowo odnalezione. W r. 1965 ukazały się *Akta Stanów* do 1506 r., odpisane były do 1512 r. Można więc było pokusić się o krytyczną biografię Łukasza. A stanowisko Łukasza mogło tłumaczyć postawę jego siostrzeńca, Kopernika.

<sup>16</sup> Zob. przyp. 3.

W 1965 r. odbył się w Warszawie Międzynarodowy Kongres Historii Nauki. Zgłosiłem swój udział. Zgłosiłem też komunikat. Po sesji w Warszawie była sesja w Toruniu. Największą korzyść przyniosła mi lektura wydawnictw kongresowych, które zawierały szereg nowych pojęć, jak „rezerwa teoretyczna”, oraz czytanie pism uczonych radzieckich B. M. Kiedrowa i G. M. Dobrowa, traktujących o postępie w nauce i jego uwarunkowaniach. Zostałem powołany na członka Komitetu Historii Nauki i Techniki i Rady Naukowej zakładu. Znalazłem tu pełne zrozumienie dla moich planów badawczych.

Konieczny był dla mnie wyjazd do Rzymu i praca w archiwum watykańskim. Sprawa kanonikatu Kopernika i procesu o tę prebendę były niezbadane. Rzekomo biskup Łukasz Watzenrode złożył petycję, by papież usunął ingerencję króla przy obsadzie biskupstwa po nim. Było to sprzeczne z całą polityką Łukasza wobec Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta i niezgodne z jego radą, by wybrać po nim na biskupstwo prałata polskiego. Otóż w r. 1967/68 uniwersytet odmówił poparcia mego wniosku o wyjazd do Rzymu dla badań kopernikańskich. W 1969 r. wniosek taki postawiła Akademia Nauk i rektor przestał się sprzeciwiać. Pojechałem na 2 miesiące w początku października 1970 r. Stypendium było bardzo skąpe, ale czułem się silny i liczyłem na zaliczkę od Einaudiego. Rzeczywiście warunki życiowe były trudne. Trochę mnie wspomogły odczyty, które dla mnie zorganizował Profesor Br. Biliński, dyrektor stacji naukowej Akademii w Rzymie. Na odczycie w Rzymie byli wszyscy profesorowie-historycy. Byłem w Bolonii, Ferrarze i Turynie. W archiwum watykańskim otrzymałem wskazówki od ks. Waleriana Meysztowicza, autora doskonałego przewodnika który opracował w latach wojny, siedząc jako radca ambasady w murach Watykanu. Inni dyplomaci grali w karty — on spenetrował archiwum. Wskazówki te uzupełnili pracownicy archiwum. Ale cóż robić, kiedy sygnatura obejmowała nie tom, ale całą szafę i trzeba ją było przeglądać tom za tomem. Pracowałem od 9—9,30 do 13—13,30, kończąc wśród nerwowego niepokoju Włochów, którzy pędzili na posiłek. Ale w ciągu pracy można było korzystać z automatu z kawą.

Zacząłem od aktów Roty, czyli trybunału papieskiego i zaraz znalazłem to, czego szukałem: o kanonię sporną procesował się nie Kopernik a Jan Sculteti. Wuj Mikołajowi kanonię odebrał i dał Scultetiemu, a jego z bratem posłał na koszt własny do Włoch. Sprawa została wtedy wyjaśniona. Potem w Bolonii przejrzałem akt notarialny, w którym Kopernik w r. 1497 upoważnił kogoś do objęcia kanonii. Archiwista Sighinolfi odczytał, że Kopernik był „presbyter constitutus”, co by dowodziło, że był księdzem. Ale paleograficznie było „personaliter constitutus” (stanąwszy osobiście), jak opiewała forma notarialna. Po mnie amerykański uczone Edward Rosen znalazł własnoręczny odpis Sighinolfiego, który na początku odczytał „personaliter constitutus”. Rosen przypieczętował falsum archiwisty.

Wiele trudu kosztowało mnie poszukiwanie supliki Łukasza w sprawie następcy. Odpisy supliki oprawiano w tzw. „registach lateraneńskich” w wolu-

minach in folio pisanych przez 5 pisarzy na składkach po 20 kart pergaminowych. Każdy pisarz (ingrossator) pisał 100 kart. Oprawiano w tomie po 500 kart. Pismo było nierówne. Niektórzy pisarze mieli klarowne, czytelne pismo renesansowe, inni, wiekiem starsi, gryzmoлили niewiarygodnie. W rozpaczy, że mi nie starczy czasu ani wzrok nie wytrzyma wysiłku, zauważyłem, że wpisy były kontrolowane i na marginesie stawiano znaczek tam, gdzie było nazwisko petenta i diecezja. Teraz poszło szybko. Pracowałem stojąc, aby lepiej widzieć, potrzebne akta zaraz oddawałem do sporządzenia kserokopii. Archiwum działało bardzo sprawnie, nigdy długo nie czekałem. Ale powiedzmy sobie, że kancelaria papieska produkowała miesięcznie w XV w. 2—3 tomy regestów, każdy po 500 kart. Jednak dałem radę. Tylko, że na pracę w bibliotekach po południu nie było ani czasu ani sił. Przerobiłem, co miałem zrobić w bibliotece watykańskiej, ale najlepiej mi się pracowało w Gregorianum. Byłem też w Instytucie niemieckim niedaleko od św. Piotra i w Instytucie Geograficznym. Wreszcie zaniechałem pracy po południu. Odwiedziłem tylko bibliotekę karmelitów z najnowszymi pracami z historii życia wewnętrznego, gdzie pilotował mnie przemiły brat, stęskniony do rodaków i do mowy polskiej. Przeważnie po obiedzie odpoczywałem, szedłem na przechadzki i kupowałem owoce. Poświęcałem też popołudnia i niedziele na zwiedzanie. Na kilka dni przyjechał do mnie Ambroise Jobert.

Po powrocie z Rzymu znalazłem w Olsztynie zwróconą przez władze archiwalne — w ramach wymiany przed wojną — oryginalną suplikę, której daremnie szukałem w Rzymie. Przed XVI w. oryginały wyrzucano — ten się uchował. Znalazłem w nim, że imię biskupa warmińskiego, nawet pierwsza litera imienia, były pominięte. Suplikę wtedy składał nie Łukasz, a kandydat na jego następcę, Filip Bischof, pomijając imię aktualnego biskupa. Było to oczywiście falsum. Łukasz nie prowadził dwulicowej gry z Jagiellonami, był im po prostu wierny. Rzutuje to na postawę Kopernika wobec Polski.

Po powrocie z Rzymu otrzymałem propozycję do Profesora Helmuta Koenigsbergera z Londynu, członka prezydium Międzynarodowej Komisji do dziejów Zgromadzeń Stanowych, bym napisał popularno-naukową książkę o Koperniku. Propozycję przyjąłem. Pisząc książkę rzuciłem jako niewidoczną kanwę, jakby rusztowanie, owe trzy podstawowe założenia metody porównawczej, które opracowałem podczas badań nad klasztorami benedyktynek w Chełmnie i Toruniu: system wartości, strukturę i klimat kulturowy. Dawało to rytmiczną analizę kolejnych środowisk, w których przebywał Kopernik. To się czytelnikom podobało, ale tylko jeden z nich, Docent Zenon Hubert Nowak dostrzegł tę niewidoczną siatkę pojęć socjologicznych i docenił jej znaczenie.

Zjadliwy „Hamilton” napisał: „Karol Górski pisze, jak pisać trzeba. Polszczyzna bez śladu żargonu, styl krystalicznie czysty”<sup>17</sup>. Ale Anglikom

<sup>17</sup> Rec. Hamiltona, „Kultura” 1973 nr 31.

się książka nie podobała: była „not readable”. Koenigsberger doradzał mi, żebym przecie książkę w Polsce wydał. Mnie się wydaje, że za dużo napisałem o polskości Krakowa w czasach Kopernika. Lansowano tę niemieckość Krakowa w czasach okupacji i po cichu przed zbliżającą się rocznicą. Przedyskutowałem raz jeszcze sprawę z Marianem Biskupem. Percy Ernst Schramm lansował niejasną, raczej literacką koncepcję, że wielki astronom stał „pomiędzy narodami polskim i niemieckim”. Leon Koczy widział go jako kosmopolitę. Ale na podstawie analizy tekstów doszedłem do wniosku, że Kopernik uważał za „patrię” Prusy, „kraj” jako korporację stanową w ujęciu średniowiecznym, który to „kraj” wchodził w skład Polski. Godził on przywiązanie lokalnego patriosyzmu do „kraju” z wiernością dla całości państwa, wyobrażonej przez króla. Pojęcie narodowości jest dla przełomu XV i XVI w. anachronizmem. Marian Biskup zgodził się z tym. Odnalazł też w *Lokacjach lanów*, że Kopernik znał język polski, co kwestionowali badacze niemieccy. Rocznicą kopernikańska minęła bez sporu o narodowość astronoma, który chcieli rozpalić pewni ludzie w obu krajach. I w Polsce ktoś znaczący w nauce orzekł, że trzeba „wreszcie jasno powiedzieć” o narodowości astronoma. „Jasno” — to znaczy zgodnie ze światem pojęć i przesądów współczesnego człowieka, bez względu na to, czy to jest prawdziwe.

Stałem też na stanowisku, że Kopernik nie był kapłanem, bo w kapitule warmińskiej takich święceń od kanoników nie wymagano. Udało mi się odnaleźć odnośny tekst z 1549 r. Sformułowałem też opinię, że Kopernik był człowiekiem wierzącym, ale nie gorliwym w wierze.

Nadszedł rok 1973 r. Ukazała się w Ossolineum moja książka *Mikołaj Kopernik. Środowisko społeczne i samotność*, monografia Łukasza Watzenrodego wyszła w serii „Studia Copernicana”. Zostałem zaproszony przez British Council do Anglii i miałem odczyty w Londynie (zanik dawnych Prusów), w Norwich i Keele (o Koperniku). Zestawienie roli środowiska z samotnością budziło zainteresowanie. Potem byłem w Paryżu, gdzie miałem odczyt, który został wydrukowany, ale nie przyjąłem zaproszeń do Nicei i Werony — może to był błąd, ale czułem się coraz gorzej. W jesieni były „Colloquia Copernicana” w Toruniu, wreszcie emerytura i inauguracja roku akad. 1973. Spodziewałem się, że będę miał odczyt w auli o Koperniku, ale mi powiedziano, że wiceminister był zdania, że powinien mówić przedstawiciel nauk przyrodniczych. Wobec tego mówił chemik, a dla mnie nie było zaproszenia na spotkanie z gośćmi zagranicznymi. Przeżyłem to bez smartwienia.

Pisałem jeszcze niewielkie prace o Koperniku i opublikowałem jedno źródło, rzucające światło na stosunki rodzinne astronoma. Nadal biorę udział w działalności Pracowni Kopernikańskiej Instytutu Historii Nauki, Oświaty i Techniki. Uczniowie moi nadal interesują się środowiskiem Kopernika. (Marian Biskup, T. Borawska, J. Małek).

## WŁOSKA KSIĄŻKA O ZAKONIE KRZYŻACKIM

Druk książki posuwał się naprzód. Wydawnictwo było bardzo staranne. Zdjęcia, które wykonał mój syn, historyk i fotograf — Waclaw, wyszły doskonale. Zdawałem sobie jednak sprawę, że książka moja, choć pisana rzeczowo, wywoła w niektórych kołach wrogie reakcje. Nie darmo życzliwy mi cudzoziemiec wtrącił mimochodem w rozmowie w 1967 r.: „Niech pan przestanie zajmować się Krzyżakami”. Puściłem to mimo uszu.

Książka *L'Ordine Teutonico* ukazała się w 1972<sup>18</sup>, w nakładzie 3.000 egz., ale zaraz dodrukowano drugie 3.000, gdyż szybko się rozeszła i miała wzięcie wśród studentów. Einaudi zorganizował wspaniałą reklamę prasową. Jedynie „Il Tempo” zaatakowało mnie w artykule rumuńskiego emigranta Vintila Horia, który mi zarzucił, że nie rozumiem ducha pruskiego, z którego rodzili się Kant i teozof Keysrling. Pisał, że Polacy chcieli zagarnąć Litwę i Ukrainę, ale byli na to za słabi. Na cotygodniowej konferencji dla dziennikarzy, akredytowanych przy „L'Osservatore Romano” przedstawiono mnie jako wroga kościoła, antyklerykała. Na szczęście dla mnie obecna tam była polska dziennikarka, P. Kańska, której osobiście nie znałem. Stała się ona w mojej obronie i cała akcja niemiecka utknęła. Stał też w mojej obronie Jerzy Braun, ale „Il Tempo” artykułu nie przyjęło i ogłosił go w Londynie po polsku. Dopiero w rok później ukazał się w „Il Tempo” niejasny jakiś artykuł. Mówiono mi, że wydawnictwo Einaudiego ma charakter lewicowy, ale odpowiadałem, że wszystkie prawicowe wydawnictwa siedzą w kieszeni kapitału zachodnioniemieckiego, a Einaudi jest niezależny. Przekłady książki nie udały się. W Niemczech zachodnich wzbudziła ona zainteresowanie, ale wydawcy się wycofali; tak samo w Anglii. We Francji zaproponowano mi, żebym napisał rodzaj kryminału o Krzyżakach. Odmówiłem. Krzyżacy byli wrogami Polski, ale nie zasłużyli na to, by czynić z nich pospolitych przestępców. W r. 1977 zostałem zaatakowany po włosku przez docenta z Bonn — Udo Arnolda. Ostra recenzja, odmawiająca księżce mojego naukowego charakteru, ukazała się w „Römische Historische Mitteilungen”<sup>19</sup>, a także po niemiecku w Niemczech Zachodnich<sup>20</sup>. Podstawowym zarzutem był brak przypisów i odsyłaczy. Na recenzję niemiecką odpowiedziałem rzeczowo po polsku, a włoską odpowiedź posłałem do „Römische Historische Mitteilungen”, powołując się na ogólnie przyjęte prawo zaczepionego do odpowiedzi. Ale profesor Heinrich Schmiedinger, dyrektor austriackiego Instytutu w Rzymie i redaktor czasopisma, który przedtem obiecał wydrukować moją odpowiedź,

<sup>18</sup> K. Górski: *L'Ordine Teutonico. Alle origine dello stato Prussiano*. (Einaudi, Saggi 475), Torino 1972.

<sup>19</sup> Recenzja Udo Arnolda, „Römische Historische Mitteilungen”. Wien 1977 H. 16 1974 s. 291—304 i moja odpowiedź tamże, H. 19 1977, s. 179—185.

<sup>20</sup> K. Górski: *W sprawie włoskiego wydania książki o zakonie krzyżackim i początkach państwa pruskiego*. „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 1975 z. 4 s. 521—526.

teraz odmówił pisząc, że przecież odpowiedziałem już po polsku. Wystąpiłem ostro, zagroziłem odwołaniem się do Austriackiej Akademii Nauk, której podlegał, i uzyskałem druk odpowiedzi. Prostowałem w niej jedną jedyną pomyłkę tłumacza i broniłem mego stanowiska. Nie zdziwiłem się oglądając fotografię profesora Heinricha Schmiedingera w stroju komtura wspólnoty „familiars” Zakonu Niemieckiego w Rzymie. Książkę moją usiłowano przemilczeć. W *Diccionario degli Istituti di Perfezione* książkę moją pominięto, a przywrócono po interwencji z adnotacją „mało uwzględniana”<sup>21</sup>. W Ameryce ukazała się recenzja Richarda C. Hoffmanna, który nawet podsuwa myśl przekładu jej. Ale literatury naukowej w języku polskim nie zna<sup>22</sup>.

Z Udo Arnoldem utrzymywałem nadal koleżeńskie stosunki i dyskutowałem z nim sporne kwestie. Jest to właściwa droga wyjaśnienia odmiennych stanowisk. Okazało się, że jest to możliwe przy dobrej woli obu stron, które starają się znaleźć inne sformułowania w miejsce tych, które wywoływały rozdrażnienia. Sądy moralne o przeszłości są źródłem uraz, podczas gdy oględne sformułowania socjologiczne mogą znaleźć uznanie obu stron. Profesor Hartmut Boockmann z Göttingen, jeden z najwybitniejszych historyków średniego pokolenia, wprowadził pojęcie „tradycji historycznej” polskiej czy niemieckiej w myśleniu historycznym. Jest to stałe dążenie do sądenia, np. Zakonu w ten czy inny sposób, w myśl tych czy innych wartości, które uznaje się za naczelne. Mnie zalicza do „szkoły historycznej polskiej”. Rozróżnienie to pozwala na utrzymanie dystansu wobec poglądów antagonistycznych, które dawały znać o sobie na polsko-niemieckim kolokwium, poświęconym poprawie podręczników — w Toruniu w 1974 r.

Polska wersja mojej książki o Krzyżakach pt. *Zakon Krzyżacki w Prusach i jego państwo* ukazała się w wydawnictwie Ossolineum i rozeszła się błyskawicznie<sup>23</sup>. Planowane było wydanie przekładu w jednym z wydawnictw w NRD, ale nieoczekiwanie napisano mi, że podobno ukazał się przekład w Republice Federalnej Niemiec. Nic o tym nie wiedziałem i nie wiem. Ale mówiono mi, że osławiona „Publikationsstelle” przy naczelnej dyrekcji archiwów znowu działa. Nie wiem, czy to prawda.

Profesor Udo Arnold — jako główny rzecznik poprawy stosunków polsko-niemieckich na polu historiografii Zakonu — wydał zbiór prac polskich o Zakonie Niemieckim, w tym moją o początkach reprezentacji stanowej w Prusach. Zgodziłem się na to bez wahania, gdyż powolna, ale nieprzerwana dyskusja zaczęła wydawać owoce. W 1978 r. zostałem zaproszony na sympozjum „Konstanzer Arbeitskreis” na wyspie Reichenau pod Konstancją. Zabrałem głos omawiając rekrutację i rolę kleru krzyżackiego w diecezji chełmińskiej i innych. Głos ten został włączony do referatów i wydrukowany. Okazywano

<sup>21</sup> *Dizionario degli Istituti di Perfezione*. Vol. 6 „il volume ha scarsa attendibilità”.

<sup>22</sup> R. C. Hoffmann, „The America Historical Review” February 1979, Bloomington (Ind.) 1979.

<sup>23</sup> K. Górski: *Zakon Krzyżacki w Prusach i jego państwo*. Wrocław 1977.

mi wiele życzliwości i ułatwiano sprawy życiowe. W dyskusjach uderzyła mnie nuta sentymentalna w ocenie Zakonu przez uczonych niemieckich, która dla Polaka jest obca i niezrozumiała, czego znów wielu Niemców nie rozumie. Wiele rzeczy trzeba zostawić działaniu czasu.

\* \* \*

Oto koniec moich prac nad dziejami Zakonu. Wiek i stan wzroku nie pozwalają na pracę w archiwach. Pisuję recenzje i bronię swego stanowiska. Od 1981 r. uczniowie moi organizują w Toruniu co 2 lata sympozja „Ordines Militares” z udziałem zagranicznych uczonych. Biorę w nich udział, na pierwszym miałem odczyt. W 1985 r. powstała Międzynarodowa Komisja do Historii Zakonu Niemieckiego. Nie przystąpiłem do niej, ale nie odmawiam współpracy. Uważam, że tak jest lepiej. Biorą w niej udział moi uczniowie. Siedzibę ma w Wiedniu — w domu Zakonu. Nie pozostawiam po sobie pustego miejsca w dziedzinie historii Pomorza, Prus i Zakonu Niemieckiego. Nie jest łatwo mieć następców. Trzeba unikać zadrażnień i zatargów, ciągle coś oddawać i czegoś się wyrzekać, gdyż ludzie dojrzewają do samodzielności. Na utrzymywanie tej zgody — żelaznej czy słomianej — trzeba poświęcić wiele czasu i włożyć немало trudu.

#### PRATO

Nieoczekiwanie jesienią 1973 przyszło zaproszenie profesora Alberto Tenenti z Paryża w imieniu Fernanda Braudela do wygłoszenia odczytu na sympozjum w Prato, nawiązując do moich socjologicznych zainteresowań. Długi i zawiły tytuł pokrywał problem wpływu konsumpcji na tendencje i konieczności psychologiczne. Prosiłem o ograniczenie do „tendencji”<sup>24</sup>. Temat przyjąłem, gdyż nawiązywał do trafnych spostrzeżeń Tenentiego, że utopie są krańcowym przejawem (cas-limite) tendencji i dążeń danej epoki dziejowej. Z tym się mogły łączyć frustracje z powodu niespełnionych pragnień. Wyszła mi praca podzielona na 8 punktów. Na początku omówiłem założenia teoretyczne, które wysnułem z porównania zamkniętych środowisk klasztornych, o takim samym składzie społecznym, w tym samym czasie i tym samym kraju, a to na podstawie kronik, biografii i korespondencji. Następnie przeanalizowałem zagadnienie zaspokojenia głodu oraz zanik w XVI w. utopii obżarstwa, która przeszła do bajek dzieciennych. Następnie mówiłem o dążeniu do założenia

<sup>24</sup> K. Górski: *Nécessités et tendances psychologiques et aspect de la consommation (Domanda e consumi. Livelli e structure nei secoli XIII—XVIII)*. Atti della Sesta settimana di studio. Istituto Internazionale di Stori Economica, F. Datini, Prato-Firenze 1978 s. 369—386. Po polsku w skrócie: *Pozagospodarcze czynniki kształtujące konsumpcję*. „Zapiski Historyczne” 1976 z. 2 s. 71—86.



rodziny, trudnościach gospodarczych i o barierach społecznych, które znalazły wyraz w bajkach o trzech braciach. Z kolei omówiłem dążenie do wzbogacenia się i przemiany, jakim podlegały utopie od końca średniowiecza do w. XVIII, przemieniając „wyspy szczęśliwe” w „przyszły porządek świata”. Dalej mówiłem o modzie i rozrywce jako wyrazie aspiracji oraz o religijności i lęku, wreszcie o mecenacie sztuki. Być może że ten ostatni punkt należałoby związać z dążeniem do władzy i jej sprawowaniem. Całość ująłem jako problem „klimatu kulturowego” w przeciwieństwie do „klimatu historycznego”, obejmującego zagadnienia przemian środowiska naturalnego.

Przybyłem do Prato w kwietniu 1974. Sympozjum było wyrazem badań zespołowych nad historią społeczną i gospodarczą Europy od XIII do XVIII w. i gromadziło specjalistów ze wszystkich krajów, także z Polski. Obecność kolegów z Warszawy była dla mnie dużą pomocą i podtrzymaniem.

Odczyt mój wypadł przed południem po serii odczytów hiszpańskich. Referenci klócili się zawzięcie, jak to mogło być, że kolegia jezuickie mogły się rozwijać bez stałych dochodów, ale nikt nie wpomniał, co jest powszechnie znane, iż rodzice uczniów składali dobrowolne ofiary. Przewodniczący wyraźnie przewlekał obrady. W myśli skracałem coraz bardziej mój odczyt, który wygłosiłem po 13-ej, przez 15—20 minut. Okazało się, że mówiłem dobrze i powiedziałem to, co było istotne. Dyskusja była krótka. Braudel rozmawiał ze mną, prosząc o rozwinięcie myśli. Zagadnienie klimatu kulturowego było dlań nowe i zaprosił mnie z następnym odczytem za rok, ale potem to zostało odwołane, a ja zachorowałem. Zresztą badanie „klimatu kulturowego” jest czymś innym niż historia gospodarcza i zdawałem sobie sprawę, że Braudel nie chce odstąpić od swych założeń. Al moje stosunki z Prato pozostały bliskie. Bardzo życzliwie przyjął moją wypowiedź Profesor Battlori z Hiszpańskiej Akademii, ale największe dla mnie znaczenie miała rozmowa z prof. Charles Wilsonem z Cambridge, który mi powiedział, że do północy czytał pełny tekst mego referatu, tak mu się spodobał i ofiarował się podjąć starania o zaproszenie mnie do Cambridge jako „visiting professor”. Było to wielkie wyróżnienie, ale czułem się niedobrze i trochę mnie odstraszała propozycja zajęcia się procesami czarownic. W kilka lat później uchwyciłem myśl przewodnią tych badań — wpływ zatrucia sporyszem w latach nieurodzaju, co wyeksponowali lekarze francuscy. Powstały z tych zainteresowań dwie kolejne prace, oparte na materiale uzyskanym z Francji. Ale w 1974 zabrakło mi sił. W rok później przebyłem ciężką operację. Ale jednak może ta odmowa wyjazdu do Cambridge w 1974 r. była błędem. Takie propozycje zdarzają się tak rzadko profesorom prowincjonalnych uniwersytetów.

Nasunęło się wtedy pytanie, czy nie kontynuować prac nad klimatem kulturowym. Miałem odczyt w Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego z wielką frekwencją i dyskusją, kontynuowałem rozważania nad stworzeniem skali mierzenia natężenia emocji zbiorowych, np. lęku zbiorowego. Ten ostatni problem opracowałem, ale go dotąd nie opublikowałem. Prowadziłem bardzo

owocne dyskusje z filozofami prakseologami, ale nie zdecydowałem się na podjęcie się większej pracy, na czytanie dużej i różnorodnej literatury. Śledziłem badania Jean Delumeau nad lękiem, które jednak nie trafiały do sedna sprawy. Radzono mi, bym przepracował zagadnienie w języku prakseologii, ale wydawało mi się, że na to za późno. Jestem historykiem i używam języka pojęć historycznych i trudno mi się uczyć innego języka. Zdawało mi się, że te niewiele lat, jakie mi pozostały do pracy, powinienem użyć na wydawanie gotowych rozpraw i źródeł, które zalegały półki. I tak zagadnienie opracowania klimatu kulturowego znalazło się na marginesie, ale nadal trwało w podświadomości badawczej.

Jesienią zwrócono się do mnie w Pelplinie, czy mam przekład *Geschichtsphilosophie* ks. Sawickiego, który w maszynopisie leżał u mnie na półce. Szybko przekazałem go do wydawnictwa diecezjalnego, gdzie ukazał się na małej poligrafii w początkach 1975 r. jako spora książka. Wydawcy zamieścili uzupełnienie ks. Sawickiego; moje, obejmujące literaturę za lata 1920—1957, pozostało jako materiał, z którego raz po raz korzystam. Tak więc nic nie zginęło, z tego co opracowywałem w trudnych latach.

\*

\*

\*

W kwietniu 1975 r. zachorowałem ciężko i byłem operowany na wrzód w żołądku. Powrót do sił następował powoli. Zdawałem sobie sprawę, że wobec utraty sił trzeba kończyć zaczęte prace, by nie pozostawiać po sobie „tek” nabożnie przechowywanych po archiwach, z których potem nikt nie korzysta. Wyjazdy do pracy w archiwach byłyby zbyt ciężkie ze względu na dolegliwości pooperacyjne. Pozostało mi wydawać gotowe prace. Na marginesie ich przeżyłem coś, co bym nazwał naukową przygodą, współpracowałem w realizacji dwóch filmów naukowych francuskich — o Grunwaldzie w serii „Decydujące bitwy świata” i w filmie o historii Bałtyku i Morza Północnego (1975—1976). Nagrywałem długie wypowiedzi, bywałem też „gwiazdorem” nad Wisłą w Toruniu. Inicjatorem był prof. Jeanin z Paryża. Nie widziałem żadnego z tych filmów, ale rozmawiałem o samej problematyce zastąpienia profesora przez telewizję z ministrem oświaty Belgii, P. Jeanne i z profesorem Lönnrothem, który kierował pracą nad filmem historycznym szwedzkim, złożonym ze scen teatralnych. To było bardzo kosztowne i nie spełniało pokładanych w telewizji nadziei. W sumie zagadnienia dziejów Zakonu i jego państwa po 1975 r. zeszyły na plan dalszy. Pozostały dwa problemy: wydanie toruńskich tabliczek woskowych, o których dawno myślałem i historia życia wewnętrznego, którą trzeba było dokończyć.

## EDYCJA TABLICZEK WOSKOWYCH

Tabliczek używano w starożytności i średniowieczu do sporządzania notat, konceptów i rachunków. We Francji używano ich na targach rybnych, jeszcze ok. 1840. Ze względu na kruchość materiału ulegały one łatwo zniszczeniu. Największy zbiór nie tylko w Polsce, ale i w Europie zachował się w Toruniu, obejmując lata od ok. 1350 do połowy XVI w., ale ozdobne oprawy wskazują, że powstały one w XIII w. Zawierają one spisy posiadaczy parcel, płacących czynsz miastu, np. z ogrodów i winnic, wykazy oddziałów zaciężnych, akta sądowe. Choć już dawniej ustalono, co w nich odnosi się do Watzenrodów i rodziny Kopernika, jednak udostępnienie całości mogło rzucić nowe światło na środowisko miejskie, skład etniczny, zamożność kupców i rzemieślników. Oryginał był miejscami bardzo zniszczony i nieczytelny, stąd trzeba je było szybko głosić drukiem. Zgodnie z opinią środowiska ja byłem najlepiej do tego przygotowany. Pomocnikiem moim został mgr Witold Szczuczko z ostatniej promocji magistrów w 1973 r., dobrze przygotowany także w zakresie paleografii. Już w latach poprzednich dwukrotnie próbowałem odczytać i odpisać tabliczki (przed 1950 r. i w 1953). Nie doceniałem piętujących się trudności. Wosk był popękany i odpadał, miejscami przebijały źle zatarte poprzednie zapisy. Niektóre tabliczki nosiły na sobie ślady pożaru. Rozproszone w początkach XIX w. zostały zebrane i uporządkowane przez archiwistę miejskiego — J. Bendera — w końcu XIX w. W czasie okupacji wywieziono je do kopalni soli w Graslébeu w Saksonii. Wróciły w niezłym stanie, ale uległy rozpadowi. W r. 1953 pracę nad tabliczkami finansowało Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Odczytywania nie dokończyłem. W czasie przepisywania do edycji można było zauważyć ubytki tekstów, które istniały jeszcze w 1953 r.

Metoda edycji polegała: (1) na odpisaniu tabliczek przez mgr Szczuczkę; (2) na skolacjonowaniu wspólnym odpisu z uwzględnieniem mego odpisu z 1953 r. i odpisów z 1950, dokonanych przez moich uczniów. Mgr Szczuczko pierwszy zbadał drewno, z którego tabliczki były sporządzone i wiązania ich. Pozwoliło to na podział ich na całości czyli „wiązki”, przy czym okazało się, że dawny podział Bendera był trafny i zawierał niewiele błędów. Uzyskaliśmy dzięki uprzejmości wielkiej firmy chemicznej Höchst w RFN odbitkę z pracy E. Mosera i H. Kühna o tabliczkach woskowych, stanowiącej część wielkiej monografii zbiorowej: *Vom Wachse*. Niestety badań nad masą woskową, którą tabliczki były powleczone, nie było można przeprowadzić ze względu na obawy, jakie żywiła dyrekcja Archiwum Państwowego w Toruniu, czy badania nie doprowadzą do uszkodzenia zabytku. Jednak badania te, jak i konserwacja tabliczek są nieodzowne. We wstępie zamieszczono rozważania o datowaniu i układzie tabliczek. W przypisach umieszczono odczytane, a zatarte częściowo zapisy dawniejsze oraz rozwiązania nazw osób i trudniejszych słów średniowiecznej niemieckizny. Niezależnie od tego zamieszczono

na końcu słowniczek trudniejszych wyrazów niemieckich. Osobno docent M. Kutzner i mgr E. Pilecka opracowali zdobione oprawy tabliczek.

Praca nad wydaniem zajęła ok. 7 lat. Kolacjonować mogłem nie dłużej niż 2 godziny z przerwą w środku, dwa razy w tygodniu. Przez pierwszą godzinę wciągałem się do czytania pisma, przez drugą pracowałem z pełną sprawnością. Mógłbym pracować dłużej, ale obawiałem się o stan wzroku i ciśnienie krwi. Ja czytałem oryginał, mgr Szczuczko swój maszynopis. Błędów było mało. Szpalty korektowe czytaliśmy z maszynopisem poprawionym, sięgając raz po raz do oryginału. W końcu wzrok mój tak się pogorszył, że musiałem zatrzymać się na tym stadium ponownego sprawdzania, do którego doszedłem. Drukowały *Tabliczki* Zakłady Graficzne w Toruniu. Pracownicy z całym zrozumieniem wagi tego wydawnictwa i z ambicją, by nie sfuszerować książki, którą będą czytać niezyczliwi cudzoziemcy, włożyli ogromny wysiłek w tę książkę. Słusznie na odwrocie karty tytułowej znalazły się nazwiska 3 składaczy i łamiącego w zecerni. Szczególne wzruszenie i radość przeżyłem w chwili, gdy drukarze ofiarowali mi tom z własnymi podpisami (1980). Było to nasze świadome wspólne dzieło jako Polaków, bo przecie chciano tabliczki wydawać w archiwum w Berlinie i tylko opór całego środowiska naukowego Torunia w 1975 r. temu zapobiegł. Towarzystwo Naukowe włączyło książkę do serii wydawnictw jubileuszowych miasta na r. 1983 (750 lat od założenia miasta). Oprócz niemieckiego streszczenia ogłosiliśmy pełny tekst wstępu w „Hansische Studien”<sup>25</sup>. Tak „tabliczki” włączyły się do zespołu wydanych drukiem źródeł miejskich z XV w., które opublikowali po 1945 r. I. Janosz-Biskupowa, K. Ciesielska, A. Czacharowski, tworząc podstawę do badań. Nacisk, który kładłem w pierwszych latach seminarium na opanowanie sztuki edytorskiej, zaowocował w stałych zainteresowaniach i ambicjach edytorskich młodych badaczy.

Było niewiele rzeczowych recenzji. Z innych widać było, jak na znajomości metod ujemnie odbija się brak szkoły, opartej na instrukcji wydawniczej. Ci, którzy sami nie wydawali źródeł, nie zdają sobie sprawy, że nie wolno zmieniać raz obranej na początku metody. Innym błędem jest traktowanie poszczególnych rachunków jako odpisów tego samego źródła i wydawanie ich łączne, tak jak się to robi przy odpisach źródeł narracyjnych. Tymczasem każdy rachunek czy wykaz czynszów stanowi źródło samoistne i powinien być osobno wydany. Porównywać je można w opracowaniu krytycznym i w tabelach. Redukowanie ich do jednego tekstu jest błędem.

Edycją *Tabliczek* zamknąłem badania nad historią Pomorza. Piszę odtąd recenzje i mniejsze artykuły, nieraz przy pomocy młodych.

---

<sup>25</sup> *Tabliczki woskowe m. Torunia ok. 1350 — I poł. XVI w.* Wyd. K. Górski i W. Szczuczko (Fontes Tow. Naukowego Tor. 69) Toruń 1980. Niemiecki przekład wstępu K. Górski i W. Szczuczko, *Die Wachstafeln der Stadt Toruń als Quelle zur Stadtgeschichte*. „Hansische Studien”. Bd. 1984 s. 214—233.

## OSTATNIE PRACE

Druga dziedzina, której poświęciłem siły po 1975 r. czyli po operacji, to było dokończenie prac nad dziejami życia wewnętrznego. Na propozycję rektora ks. Rechowicza opracowałem do zbiorowej książki *Dzieje teologii katolickiej w Polsce* artykuły o teologii ascetyczno-mistycznej w XVI—XVIII w. (tom II, cz. 1) i te same teologii w XIX i XX w. (tom III, cz. 1)<sup>26</sup>. Przerobiłem wszystko, co wyszło drukiem; na marginesie poszukiwań znalazłem polskiego kwietystę i postawiłem kilka zagadnień do zbadania, np. znaczenie Feliksa Simplicja-Łackiego, cystersa z Oliwy. Chciałem też wydać zebrane materiały. Wydałem (wraz z ks. M. Głowackim) ks. Bronisława Markiewicza: *Zapiski dotyczące życia wewnętrznego*<sup>27</sup>. Potem ukazał się tom tekstów polskich i obcych, któremu wydawnictwo nadało tytuł *Duchowości chrześcijańska*<sup>28</sup>, a Akademia Teologii Katolickiej zaproponowała mi wydanie zbioru rozproszonych artykułów i rozpraw, częściowo niedrukowanych. Ukazał się on w r. 1980<sup>29</sup>. Ponadto wydawnictwo tejże Akademii wydało dwa tomy źródeł w „Textus et Studia” (t. XI i XV) w 1980 r. i 1984 r.<sup>30</sup>. Opróżniłem półki i szuflady prawie całkowicie. Próbowałem jeszcze uzupełnić jeden pozostały maszynopis i pojechałem do Krakowa w 1978 r., by pracować u Karmelitanek. Ale klimat był inny, pełen nieufności, a mnie męczyły dolegliwości pooperacyjne. Wróciłem, nie zrobiwszy nic — tym więcej, że — jak pisałem — stary katalog, z którego miałem notatki, został zastąpiony przez nowy, a stary uległ zniszczeniu. Licząc dwa wydane przed wojną tomy i *Rozmyślania dominikańskie* wydałem w sumie 8 tomów źródeł z komentarzami i rozpraw. Znakomity badacz włoski w dziedzinie duchowości, G. De Luca wydał, jak się zdaje, przez całe życie 8 tomów źródeł i rozpraw swoich i obcych, podobnie Henri Brémond we Francji. Pisząc przez parę lat prowadziłem seminarium doktoranckie. W 1977 r. został jeden doktorant, którego promowałem w 1985 r. (W. Szczuczko). Seminarium zamieniłem na konsultacje. Obawiałem się, że z postępującą starością nie potrafię skontrolować tego, co mi będą przedstawiać. Miałem zaufanie tylko do tych spośród moich uczniów, do których rzetelności i pracowitości nabrałem przekonania. Nie przyjmowałem też kandydatów do habilitacji spoza mego seminarium. Natomiast nie uchylałem się od recenzji prac.

<sup>26</sup> *Dzieje teologii katolickiej w Polsce*. Red. M. Rechowicza, t. 2 z. 1 Lublin 1975 s. 429—470; t. 3 z. 1 Lublin 1976 s. 299—338.

<sup>27</sup> B. Markiewicz: *Zapiski życia wewnętrznego*. Opr. K. Górski i M. Głowacki. „Nasza Przyszłość” 54, 1980 s. 13—149.

<sup>28</sup> K. Górski: *Duchowość chrześcijańska*. Wrocław 1978.

<sup>29</sup> K. Górski, *Studia i materiały z dziejów duchowości*. Warszawa 1980.

<sup>30</sup> *Kierownictwo duchowe w klasztorach żeńskich w Polsce XVI—XVIII w. Teksty i komentarze*, Wyd. K. Górski „Textus et Studia” vol. 11 1980, *Historiografia zakonna a wzorce świętości*. Wyd. K. Górski i S. M. Borkowska OSB; tamże rec. XVI, 1984.

Przyszły z latami wyróżnienia: doktorat h.c. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w 1979 r.; Uniwersytetu Wrocławskiego w 1985 r.; nagroda I stopnia Ministra 1973 r.; nagroda im. ks. Idziego Radziszewskiego na KUL w 1979 r. W 1974 r. zostałem Corresponding Fellow w Medieval Academy of America (Harvard); w 1979 r. wybrano mnie na członka zagranicznego Akademii Duńskiej. Otrzymałem wysokie odznaczenia państwowe i wojskowe. Krzyż Kawalerski Virtuti Militari; Krzyż Oficerski i Komandorski Orderu Odrodzenia Polski; Odznakę Zasłużonego Nauczyciela PRL. W 1984 r. Jan Paweł II nadał mi Krzyż Komandorski Orderu Św. Grzegorza Wielkiego. Nie mogę się uskarżać na brak uznania.

\*                      \*

\*

Władysław Tatarkiewicz powiedział kiedyś: „W starości wszystko męczy prócz pracy”. Rozumiem przez to czytanie i rozważanie, bez pośpiechu, bez potrzeby szybkiej syntezy. Jest w tym coś z kontemplacji myśliciela i artysty. Stary człowiek powinien szukać rozwlekle i pięknie — wydał 12 tomów. Więc polskie prace zaowocowały wystarczająco. W dziedzinie życia wewnętrznego znalazłem naśladowców, choć nie uczniów. Współpracowniczką moją jest S. Małgorzata Borkowska z Żarnowca, benedyktynka i polonistka. W r. 1981 zaproponowała mi encyklopedia francuska *Dictionnaire de spiritualité* napisanie w całości lub redagowanie artykułu: *Pologne*. W r. 1962 ktoś z Polski zapytał znanego historyka duchowości — Jean Leclercq OSB, czy nie zajmie się historią duchowości polskiej? Odpowiedział, że nie wie, czy taka istnieje. Teraz przyszedł czas, gdy mogłem przedstawić ją w oczach badaczy europejskich. Objąłem redagowanie całości artykułu *Pologne* i napisanie części I (średniowiecze z O. Pawłem Sczanieckim OSB, który dostarczył mi cennej bibliografii). Część II (w. XVI—XVIII) opracował O. Józef Majkowski TJ. Ja wziąłem natrudniejszą część — wieki XIX i XX oraz Litwę. Trzeba było trzymać się wymagań ciasnego „gorsetu” przepisów redakcyjnych. Redagowałem całość. Ukazała się ona w 1985<sup>31</sup>. Równocześnie zaproponowano mi udział w kolokwium francusko-polskim o stosunkach religijnych obu krajów w Lille w październiku 1981 r. Odmówiłem zrazu, bo się nie czułem dobrze. Powoływałem się na to, że jako emeryt nie mam prawa do paszportu służbowego. Wtedy organizatorzy francuscy użyli kanałów sobie wiadomych i przez swoje ministerstwo i ambasadę udali się do Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Uniwersytet wystawił mi paszport i zamówił samolot do Paryża; nie było rady. Obrady kolokwium — połączone ze zwiedzaniem pól bitew we Flandrii i Artois — były bardzo

<sup>31</sup> Art. *Pologne*. W: *Dictionnaire de Spiritualité*. Fasc. 81—82—83, Paryż 1985 col. 1864—1901.

intensywne. Znajomi gratulowali mi znakomitej formy, nie zdając sobie sprawy, że trzymam się przy pomocy medykamentów. W każdym razie zdołałem przedstawić w sposób przekonywający cechy duchowości polskiej i jej stosunek do francuskiej. Powiedział mi główny organizator: „Bez pana nie wiedzielibyśmy, czym była duchowość polska”. Tom protokołów i wykładów z kolokwium ukazał się w 1985 r.<sup>32</sup> Później pojechałem na zaproszenie Ambroise Joberta do Grenoble, ale ta miła wizyta nie była wypoczynkiem. W powrotnej drodze zasłabłem na sercu na lotnisku w Orly. Ratował mnie przypadkowo spotkany historyk z KUL. Miałem mieć referat w Rzymie na sympozjum „De communis radicibus” o wspólnych korzeniach kultury europejskiej<sup>33</sup>. Referat wysłałem, ale pojechać nie mogłem. Odtąd nie wyjeżdżam za granicę i unikam naukowych kolokwiów. Ale nie mam już zaległości. Wyczyściłem szuflady, opracowuję fragmenty i okruchy, które pozostały po dawnych poszukiwaniach. Mam 1 godzinę wykładu monograficznego. Zauważyłem, że opracowywanemu zagadnieniu mogę poświęcić 2—3 dni uwag, potem zawodzi pamięć. Temat biorę z dawnych wykładów, do których mam notatki i przeźrocza. Wydaje się, że to wystarcza wraz z okazjnymi konsultacjami i odczytami do podtrzymania pracy umysłu i zapobiega ośpieniu. Pisanie nowych rzeczy mnie męczy, mam w wydawnictwach ponowione i poprawione — przy pomocy uczniów — dawne nieprzestarzałe prace. Byłem inicjatorem kolokwium polsko-niemieckiego: „Reprezentacja chłopska w północnej Europie” (w Toruniu 10 VI 1986). Nadal prowadzę w Instytucie Historii UMK Zespół Badawczy Późnego Feudalizmu, poświęcony historii stanowych zgromadzeń. Prowadzę naukową korespondencję z badaczami obcymi.

Z mego seminarium wyszło do 1973 r. 106 magistrów, 16 doktorów, z tego jest 4 profesorów zwyczajnych, 1 profesor nadzwyczajny, 7 docentów habilitowanych. Po przejściu na emeryturę radości oglądając piękno przyrody i piękno dzieł sztuki. Ale uczony przede wszystkim powinien myśleć — być myślicielem. Gdy zanika wraz z pamięcią erudycja — zostaje myśl.

Stary człowiek powinien mieć plan myślenia, problem który chce zbadać, aby uniknąć ośpienia w bezczynności. Myślę, że ukończywszy, jak się zdaje, prace badawcze wrócę do teorii socjologicznych założeń historii. Kiedyś w niewoli czytałem książkę o „koinologii”. Ale nazwa obejmuje zbyt wiele w stosunku do tego, co może historyk zbadać. Lepiej nazwać te przyszłe i przeszłe przemyślenia historią socjologizującą, w niej zaś na pierwszym miejscu stoi zagadnienie klimatu kulturowego. Może dokończę jakąś większą pracę, przerabiając dawne szkice i przyczynki. Ale „w starości wszystko męczy prócz pracy”.

<sup>32</sup> Les contacts religieux franco-polonais du Moyenage à nos jours, relations, influences, images d'un pays vu par l'autre. Actes du Colloque tenu à l'université de Lille III, 5—7 octobre 1981, vol. 1 Paris 1981.

<sup>33</sup> K. Górski: *La spiritualité polonaise et les peuples de l'Europe Centrale et orientale*. W: *The Common roots of the European Nations*. Vol. 2. Florence 1982 s. 277—286.

## ANEKS

WŁ. SEMKOWICZ: BRULION PLANU SEMINARIUM NA LUŻNEJ KARTCE<sup>34</sup>

Seminarium D. 9 XI 1923

1. Zapytać o stan prac pp. Górskiego, Friedberga, Mikuckiego, Sokołowskiego.
2. Czy ks. Więśławski i p. Heitzmann życzą sobie tematy prac seminaryjnych.
3. Tematy prac sminaryjnych:

a) Buczek. Mapy Perthéesa jako źródło kartografii historycznej. Metoda Perthéesa w porównaniu z metodą dotychczasową (na tle kartografii europejskiej). Dokładny rozbiór i ocena strony technicznej. Szczegółowy rozbiór wartości poszczególnych elementów kartograficznych w zestawieniu z źródłami rękopiśmiennymi. Szczegóły biograficzne do Perthéesa. Olszewicz Pol. Kart. Wojsk.

b) Ks. Brydak. Temat z paleografii. Ductus Portensis w polskich dyplomach średnio-wiecznych (Skr. Posse Lehrbuch). Moja rozprawka Paleografia w służbie dyplomatyki: Posse Lehrbuch d. Privaturkunden (skr. Lehre) Górka, Studia nad dziejami łąska (Najstarsza tradycja opactwa cysterskiego w Lubiążu). Polemika w Zeitschrift für Geschichte Schlesiens.

c) Czort. Stosunki majątkowe w ks. Oświęcimskim i Zatorskim w w. XV. Rychlik, Księstwa oświęcimskie i zatorskie (Sprawozdania gimnazjum w Tarnowie 1887), Bostel, Sąd oświęcimski i zatorski 1440—1565 (Skr. Podstawa Lib. Ben. Długosza). Przewodnik naukowy i literacki 1886 r. Księstwo Oświęcimskie nabyte 1457, Zatorskie 1494. Podstawą Liber Beneficiorum Długosza, uzupełnić materiałem dokumentarnym i zapiskowym. Dobra królewskie, duchowne i szlacheckie (rody).

d) Feldhorn. Działalność kolonizacyjna Władysława Opolskiego na Rusi Halickiej (Brester, Władysław Opolczyk. Abraham. Początki organizacji kościoła łącińskiego na Rusi. Dąbrowski. Ostatnie lata Ludwika Węgierskiego. Semkowicz. Ród Awdańców). Źródła dziejowe t. XVIII.

e) Hrusowski. Polska a Słowacyzna w dobie Bolesławskiej, Łukaszewicz, Stosunek Słowaczyny do Polski w w. X i XI (Sprawozdania gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie 1907), (Rec. Zachorowskiego w Kw. Historycznym 1908). Kętrzyński, Granice Polski w X w., RAU 30 1894. Potkański, Kraków przed Piastami i dokument z r. 1086 (Kw. Historyczny r. 1903). Zakrzewski, Czeski charakter Krakowa (Kw. Historyczny 1916) — Český Časopis Historický. Literatura węgierska. Moją: Granica polsko-węgierska w oświetleniu historycznym. Tow. Tatrzzańskie 1920. Zachorowski, Węgierskie i polskie osadnictwo na Spiszu do połowy XIV w. (Rutk. 252, 1909).

f) Szczudło (Skr. Ustrój Organizacja grodowa w Małopolsce za Piastów), (Potkański, Ze studiów nad ustrojem grodowo-plemiennym). Ziemia wiślicka w wiekach średnich.

K. Górski

## THE SCIENTIFIC AUTOBIOGRAPHY

1. Childhood and youth.
2. Studies in Cracow.
3. Military service.
4. The Prussian and Austrian chicanery, defence of a thesis presented to quality as assistant professor.
5. The International Congress of Historical Sciences held in Warsaw in 1933.
6. Stay in Königsberg and work at the archives there.
7. The last month before war.
8. German occupation and underground teaching.
9. Poznań 1945 and first academic year.
10. Copernican

<sup>34</sup> Kartkę tę znalazłem w książce z biblioteki Wł. Semkowicza, ks. Brydak zmienił nazwisko na Wojciechowski. Tadeusz Czort zginął w 1940. Hrušvský był Słowakiem.



University in Toruń, and the beginning of scientific-didactic work. 11. A seminar and publication of sources. 12. The event of 1956. 13. Germany and Denmark — trips and meetings. 14. The history of mysticism and library research. 15. Comparison studies and modern gothic. 16. The death of the wife. 17. The apegge of forein journeys. 18. Futher work in comparison studies and a Congres in Moscow — 1970. 19. The Copernican anniversary. 20. The Italian book about Teutonic knights. 21. Prato — a paper of the cultural climate and the significance of emotional factor — 1974. 22. Seven years of work the on edition of wax tables. 23. The latest works.

*K. Górski*

### L'AUTOBIOGRAPHIE SCIENTIFIQUE

1. L'enfance et la jeunesse. 2. Les études à Cracovie. 3. Le service militaire et le travail à Poznań. 4. Les chicanes de la part des Prussiens et des Autrichiens; l'agréégation. 5. Le Congrès International des Sciences Historiques en 1933 à Varsovie. 6. Le départ pour Królewiec et le travail aux archives. 7. Les derniers mois avant la Seconde Guerre Mondiale. 8. La capitité et l'enseignement en conspiration. 9. Poznań 1945 — la première année universitaire. 10. L'Université Nicolas Copernic et des débuts de la carrière d'enseignant. 11. Le séminaire et la publication des sources. 12. L'année 1956. 13. Les voyages et les rencontres en Allemagne et au Danemark. 14. L'histoire de la mystique et les recherches dans des bibliothèques. 15. La comparatistique et la néographie gothique. 16. La mort de ma femme. 17. L'apogée des voyages scientifiques. 18. Les travaux successifs de la comparatistique et le Congrès à Moscou en 1970. 19. L'anniversaire de la naissance de Copernic. 20. Le livre sur les chevalier teutoniques publice initialien. 21. Prato — la conférence sur le climat culturel et sur le rôle du facteur émotif — 1974. 22. Les sept années de travail sur l'édition des tablettes de cire. 23. Les derniers travaux.

*K. Górski*

### WISSENSCHAFTLICHE AUTOBIOGRAPHIE

1. Kindheit und Jugendjahre. 2. Universitätsstudien in Krakau. 3. Militärdienst und Arbeit in Posen. 4. Preubische und österreichische Schikanen, Habilitation. 5. Internationaler Kongreß der Geschichtswissenschaften in Warschau, 1933. 6. Ausreise nach Königsberg und Arbeit im Archiv. 7. Die letzten Monate vor dem Krieg. 8. Gefangenschaft und Unterricht in der Konspiration. 9. Posen 1945 — das erste Studienjahr. 10. Nikolaus-Kopernikus-Universität und Anfänge der wissenschaftlich-didaktischen Arbeit. 11. Seminar und Quellenpublikation. 12. Das Jahr 1956. 13. Deutschland und Dänemark — Auslandsreisen und Begegnungen. 14. Geschichte der Mystik und Nachforschungen in Bibliotheken. 15. Vergleichende Sprachwissenschaft und das moderne Gotische. 16. Hinscheiden meiner Frau. 17. Apogäum der Auslandsreisen. 18. Weitere Arbeiten aus der vergleichenden Sprachwissenschaft und Kongreß in Moskau, 1970. 19. Kopernikus-Jubiläum. 20. Italienisches Buch über Deutschen Ritterorden. 21. Prato — Vorlesund über kulturelles Klima und Bedeutung emotionellen Faktors, 1974. 22. Sieben Jahre ständiger Arbeit an der Edition von Wachstafeln. 23. Die letzten Arbeiten.

К. Гурски

### НАУЧНАЯ АВТОБИОГРАФИЯ

1. Детство и юность.
2. Учеба в Кракуве.
3. Военная служба и работа в Познани.
4. Прусские и австрийские преследования, защита звания доктора наук.
5. Международный Конгресс истории науки в Варшаве, 1933 г.
6. Выезд в г. Кенигсберг и работа в архиве.
7. Последние месяцы перед началом войны.
8. Плен и наука в условиях подполья.
9. Познань 1945 — первый академический год.
10. Университет им. Н. Коперника и начало научно-дидактической работы.
11. Семинар и публикация источников.
12. 1956 год.
13. Германия и Дания — поездки и встречи.
14. История мистики и поиски в библиотеках.
15. Компаратистика и готическая неография.
16. Смерть моей жены.
17. Апогей поездок.
18. Последующие работы в области компаратистики и Конгресс в Москве — 1970 г.
19. Годовщина Коперника.
20. Итальянская книга о крестоносцах.
21. Прато — доклад о культурном климате и значении эмотивного фактора — 1974 г.
22. Семь лет работы по изданию восковых таблиц.
23. Последние работы.





Ryc. 2. W niewoli — wiosna 1940 r.





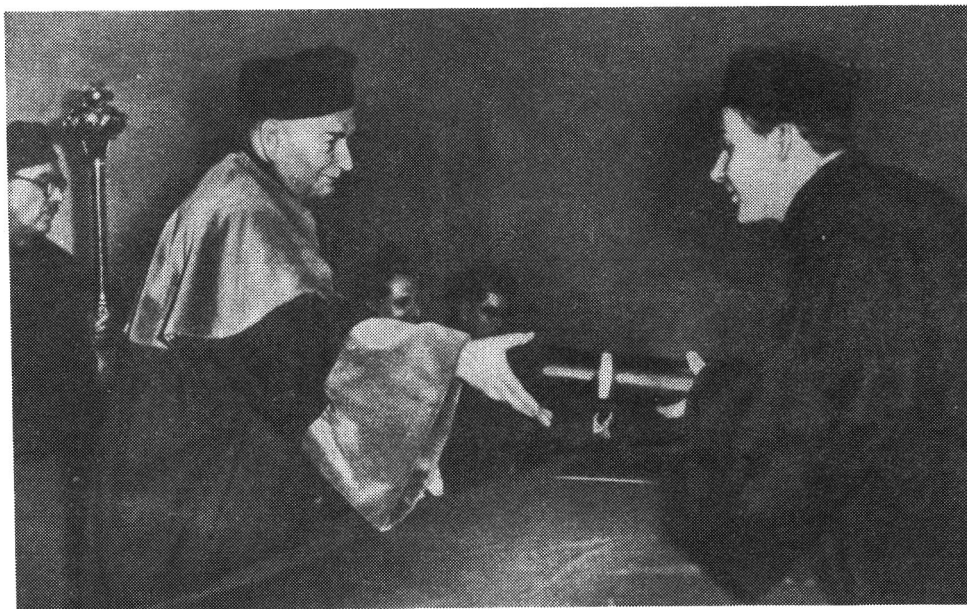
Ryc. 3. Profesor Kazimierz Michałowski z Żoną i Autorem — Bydgoszcz 1968 r.



Ryc. 4. Marian Friedberg



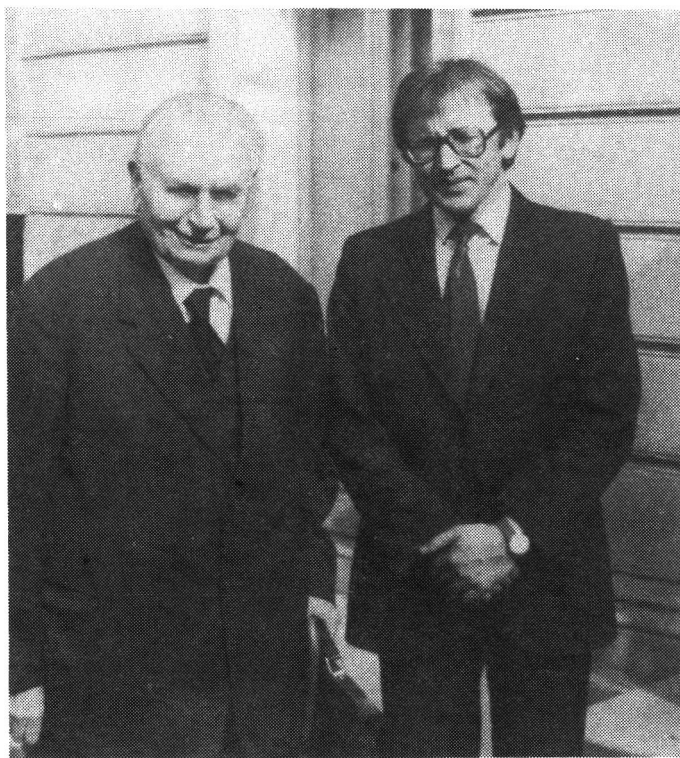
Ryc. 5. Ciężkie kwadranse przed referatem w Prato — 1974 r. W oczekiwaniu, aż skończą Hiszpanie. Siedzą od lewej: Aldea, Ruiz Martin, Batllori (Hiszpania), Beuzoni (Włochy) i autor



Ryc. 6. Doktorat Janusza Małka



Ryc. 7. Konferencja polsko-niemiecka w sprawie podręczników — kwestia krzyżacka. Toruń 20—22 września 1974 r. Autor z Zenonem Hubertem Nowakiem



Ryc. 8. Autor z Witoldem Szczuczka, ostatnim doktorantem — wrzesień 1981 r.